[N]r. 125. Lwów — Czwartek dnia 2 Czerwca. Rok 1904.

...odzi w dni powszednie ...nie 3 po południu z datą dnia następnego.

...erata z przesyłką pocztową wyno... ...u i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h ...mczech . . . . . 3 „ — „ ...ych Państwach . . 4 „ — „ ...mianę adresu dopłaca się 40 „ należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. ...erata we Lwowie miesięcznie 2 k. ... kosztuje we Lwowie . . 8 h. ...rowincyi . . . . 12 h. ...ra z poprzednich dni po 20 h.

...kie DONIESIENIA PRYWATNE ...nach, ślubach, weselach, nabożeń... ...ałobnych, pogrzebach, opisy uczt ...rywatnych, reklamy dla balów, ...i koncertów, spisy składek, do... ...o zgubach, znalezionych przed... ...t d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana 1. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Boże Ciało — św. Klotyldy | Talaleusza — Konstantyna | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca o godz. 4 m. 10, Zachód „ „ 7 m. 46 | Długość dnia godzin 15 minut 36. Przybyło dnia od wczoraj 2 min.

O ziemię.

[L]icznie, a w nastroju poważnym zjechało się ...złej niedzieli obywatelstwo poznańskie do ...ej stolicy, aby doniośle zaprotestować prze... projektowi nowej antypolskiej ustawy, któr... § 13b tak głosi: „W tych okolicach, gdzi... posiada moc obowiązującą ustawa z 26 kwi...nia r. 1886 ego o popieraniu i zakładaniu osad niemieckich, dopóty nie wolno udzielać pozwolenia na tworzenie nowych osad, dopóki nie oświadczy prezes regencyi, że ta nowa osada nie sprzeciwia się celom wyżej wspomnianej ustawy. W Prusach Wschodnich, na Szląsku, jako też w regencyach Frankfurtu nad Odrą, Szczecina i Koźlina również obowiązuje powyższy przepis. Przeciwko orzeczeniu prezesa regencyi może być wniesiony rekurs do prezesa naczelnego, który sprawę rozstrzyga w ostatniej instancyi. Powyższy przepis nie obowiązuje wtedy, gdy chodzi o podział ziemi pomiędzy prawnymi sukcesorami, albo o jej podział, dokonywany przez żyjących rodziców między dziećmi“.

Ten zatem paragraf ma uniemożliwić parcelacyę polską, zachowując to prawo wyłącznie dla Niemców. Aby jednak nie było parcelacyi polskiej ukrytej, upozorowanej naprzykład dzierżawą na długie terminy, orzeka § 13 tej nowej ustawy, że bez pozwolenia rządowego nie wolno wznosić nowych budynków mieszkalnych, ani istniejących już przerabiać na mieszkalne po za obrębem wiosek i przysiołków.

Oto więc przeciw temu zamachowi na przyrodzone i konstytucyjne prawa ludności polskiej zaprotestowano uroczyście na niedzielnym zjeździe w Poznaniu, jak zaprotestowano nieco przedtem w kilku miejscowościach nad Renem, gdzie dużo polskich robotników, którzy mozolnie, przez długie lata, pracują w podziemiach a każdy grosz oszczędzają, aby później mogli w rodzinnych stronach nabyć kawałek ziemi. Czy te protesty choć trochę poskutkują?

Niestety, nie! Na żadne złudzenia miejsca już być nie może. Nawet centrum, gniewne na Polaków o to, że nie szli z niem na Szląsku podczas ostatnich wyborów, odmówiło im podpisów na interpelacyi w parlamencie Rzeszy, wskutek czego ona nie mogła być wniesiona. Wprawdzie dwaj zacni członkowie centrum pp. Roeren i Träger na własną rękę wystąpili w sejmie pruskim przeciw tej ustawie, ale to nie znaczy, że stoi za nimi całe centrum. W najlepszym razie ono w stanowczej chwili usunie się od głosowania, gdyby jednak głosowało przeciw ustawie, i to nic nie pomoże, bo w sejmie pruskim większość stanowią junkrowie z liberałami.

Prusacy długo się zastanawiali nad tą ostatnią antypolską ustawą, przygotowywali ją lat kilka. Cały nasz naród lubi się zajmować sprawami politycznemi i bardzo się do nich zapala, a pomimo tego stale w tem błądzi, że wcale nie ma politycznej pamięci. Gdyby ją posiadał, a odpowiednio działał, możeby rząd pruski nie mógł dziś wystąpić ze swą najświeższą ustawą. Na dowód wyjmujemy z naszych notatek fakt następujący:

Dn. 16 stycznia 1898 roku kanclerz niemiecki ks. Hohenlohe wniósł w sejmie pruskim „z upoważnienia cesarskiego“ ustawę o wyasygnowaniu dla komisyi kolonizacyjnej nowych dwustu milionów marek z tym dodatkiem, że ani poprzednio uchwalonych milionów, ani tych nowych komisya nie będzie zwracała skarbowi państwa z sum, jakie otrzyma od niemieckich kolonistów, lecz obróci te sumy na dalsze wykupowanie ziemi polskiej, dopóki jej całej nie wykupi. W motywach, dołączonych do ówczesnego przedłożenia rządowego znajdowały się następujące słowa: „Powstaje wielka liczba drobnych gospodarstw rolnych, tworzonych przez Polaków z wielką gorliwością w ten sposób, że się ustawicznie odbywa dzielenie wielkich posiadłości ziemskich. Coraz liczniejsze zastępy ludności polskiej nabywają te drobne gospodarstwa rolne pod warunkami takimi, które Niemcowi nie mogą dać egzystencyi, odpowiadającej jego potrzebom. Tak więc, pomimo naszych dotychczasowych usiłowań, widoczny jest coraz większy przyrost polskich małych właścicieli ziemi. Tego faktu rząd nie może spuścić z oka“.

A zatem już przeszło sześć lat temu rząd pruski zżymał się na parcelacyę polską i zapowiedział, że jej nie spuści z oka, czyli, że przeciw niej wystąpi. Dlaczegoż jednak wtedy odrazu nie wystąpił? Oto, dlatego, że był w złych stosunkach z centrum, które mogło wówczas wystąpić w parlamencie przeciw gwałceniu konstytucyi Rzeszy. Musiał więc pierwej pogodzić się z centrum, aby ono nie poruszyło tej sprawy w parlamencie, gdzie razem z partyami narodowemi i socyalistami stanowiło i dziś stanowi większość. Sześć lat pracował nad pozyskaniem centrum dla siebie, a nad pokłóceniem go z nami. Dał mu prezent w postaci zniesienia „paragrafu jezuickiego“ w ustawach majowych, a jednocześnie tak zręcznie manewrował, że nasi radykaliści, w imię patryotyzmu, zerwali przy wszystkich wyborach z centrum, stawiali swoich kandydatów i przepadali z nimi, z jedynym wyjątkiem, w którym zdobyli mandat dla p. Korfantego — i tym sposobem poróżnili nas z centrum. Nie zgodziło się ono na roztrząsanie najnowszego antipolskiego projektu w parlamencie Rzeszy, a o to właśnie rządowi pruskiemu jedynie szło, bo w sejmie on ma większość. Jeżeli więc parlament będzie milczał, to projekt bez trudu stanie się ustawą. Przy naszej pomocy powiodła się rządowi sześcioletnia praca, a oto jej owoc: mamy posłem p. Korfantego, a rząd ma ustawę o parcelacyjnym monopolu komisyi kolonizacyjnej.

Więc się nie łudźmy! Rozpocznie się niebawem ze zdwojoną siłą już nie gnębienie, ale doszczętne tępienie żywiołu polskiego, tępienie spokojne, systematyczne, siłą milionów, wiecznie czyhających na każdy zagon polski. Podczas gdy wszechpotężny aparat administracyjny z góry trzebić będzie polskość, wdzierając się we wszystkie dziedziny społecznego życia — jednocześnie komisya kolonizacyjna będzie podcinała korzenie, łączące tę trzebioną ludność z jej własną ziemią, aż ją wykarczuje. Tak chce cesarz, i kanclerz, i cały rząd, i ogromna większość obu izb prawodawczych i niemal cała ludność niemiecka: urzędnicy, profesorowie, artyści, dziennikarze, studenci, oficerowie, ziemianie, kupcy, przemysłowcy — zgoła wszyscy! Kilka głosów katolickich, kilka postępowych, przeciwnych tej niszczącej akcyi, zniknie w tym potężnym wszechniemieckim chórze: zniszczyć, wytępić! Liberalny poseł Sattler miał niezaszczytną odwagę powiedzieć otwarcie: „Niemcy mają historyczny obowiązek wyparcia, albo zgermanizowania Polaków“. Obowiązek, czy instynkt, czy wrodzoną potrzebę, o to się spierać byłoby równie zbyteczne, jak o to, czy ssać krew ludzką jest obowiązkiem pijawki, czy powołaniem. Można się zgodzić z Sattlerem, gdyż od wieku X-ego w stosunku do Słowian nic innego Niemcy nie robią. Niegdyś zakon krzyżowy „we krwi pogaństwa północnego brodził“, aż wytępił Hawelan, Łużyczan, Obotrydów, potem „więził, mordował aż do granic Litwy“. Wykazał p. Komarnicki, że $^2/_5$ dzisiejszego państwa niemieckiego leży na cmentarzysku słowiańskiem, wynoszącem mil kwadratowych okrągło cztery tysiące! Prawie połowa, bo 42% tego obszaru już cmentarzyskiem była, zanim Polacy zabrali się do jego obrony, a blisko $^3/_4$, bo 73% stanowiło ono posiadłość niemiecką, gdyśmy pod Grunwaldem wstrzymali dalszy najazd Germanów. A czy na zawsze? Nie, tylko na pięć wieków. Po rozbiorze Polski, dokonanym przy gorliwej pomocy „wielkiej słowiańskiej macierzy“, dostało się Niemcom jeszcze tysiąc mil kwadratowych na cmentarzysko słowiańskie. Hakatyzm był od wieku X-tego, tylko się różnie, stosownie do „kursu“, nazywał: niegdyś — walką z poganami, potem, w dobie rozbiorowej — rewindykacyą, a teraz — obroną od „agitacyi wielkopolskiej“. Więc brodzić we krwi słowiańskiej, więzić, mordować aż do granic Litwy, to naprawdę historyczny obowiązek Niemców i zarazem powołanie. Tylko już nie do granic Litwy, lecz dalej, znacznie dalej: autor dzieła p. t. *Die Zukunft Deutschlands* głosi, że na Uralu powinny stać słupy czarno-biało-czerwone.

Więc na złudzenia nie ma miejsca. Żadne zjazdy, żadne protesty, żaden głos sumienia nie zatrzyma „historycznego obowiązku“ Niemców. Oni zrobią wszystko, co im każe ich powołanie. Niemniej jednak zjazdy i protesty są potrzebne, bo nad takim zamachem na życie nie można przejść w milczeniu, trzeba się zagrzewać do obrony. Potworność zamachu powinna napełnić nas otuchą, że co się przeciw naturze dzieje, to się nie ostoi, jeżeli tylko będzie zwalczane, jeżeli krzywdę będzie czuł naród. Niemcy wytępili Hawelan, Obotrydów i innych zachodnich Słowian tylko dlatego, że się ci nie bronili wszystkiemi siłami swej duszy. Obrona niesie zbawienie. Anglicy — naród potężniejszy od Niemców, a Polacy silniejsi od Irlandczyków. Przeszło dwa wieki temu Cromwell odebrał Irlandzykom wszystką zgoła ziemię, nawet chałup nie zostawił im na własność, lecz oni się bronili — i oto dziś rząd angielski za państwowe pieniądze wykupuje ziemię od Anglików, aby ją oddać wydziedziczonym przez Cromwella. W czystym zarobku mają Anglicy tylko płomienną nienawiść Irlandczyków. I temu nie można się dziwić, bo ziemia ojczysta, ziemia święta, rodzicielka i żywicielka, to nie towar, który można zabrać ludowi wzamian za garść srebrników. Ziemia — to, jak Rzymianie mówili, „magna mater“, a jak się poeta wyraził, „żona nieba, matka oceanów“; ona jest niezbędnym warunkiem życia, ona tylko daje prawo do niego. Są narody bez miast i fabryk, bez sztuk, nauk i piśmiennictwa, — nie ma ich bez ziemi. One z niej wyrastają, na niej kwitną, z nią przepadają. Jak Anteusz, z niej czerpią wszelką moc. Bez niej nie ma osiadłej ludności, nie ma łącznika, który wiąże rodziny. Więc trzeba się zagrzewać do twardego obstawania przy niej. Oto główny cel wieców, urządzanych w Poznańskiem. Niech one na stal przekują ludzkie serca. Wierzymy, że tak się stanie i dlatego w tej ciężkiej chwili wołamy do naszych srogo doświadczanych braci: Wytrwajcie jeno, a waszem będzie zwycięstwo — i zarazem naszem!

Delegacye.

(Telegram Przeglądu)

Budapeszt 1 czerwca. W dalszym ciągu wczorajszego posiedzenia delegacyi austryackiej del. Stransky oświadczył, że musi bronić tylko prawdziwych interesów ludu. Jaka forma rządu jest lepszą, czy absolutyzm, czy system reprezentacyjny, pod tym względem jednolitego zdania nie ma. W każdym razie absolutyzm jest najdroższą formą rządu. Że absolutyzm istnieje obecnie w Austryi, dowodzi tego żądanie 400 milionów na wojsko. W Austryi zawsze dzieje się jeszcze wszystko według woli kół dworskich. Najprzedniejszem prawem systemu reprezentacyjnego jest uchwalenie budżetu. Tymczasem tak znaczna część budżetu, gdyż więcej aniżeli jedna trzecia, uchwalaną jest nie przez parlament, tylko przez komisyę, która pozornie jest częścią systemu reprezentacyjnego, w rzeczywistości zaś wypełnia wolę kół dworskich. W delegacyach zawsze zastępcy ludu są przegłosowani przez zastępców Izby panów. Z Izby panów nikt jeszcze nie głosował nigdy przeciw przedłożeniu. Rząd nie wniósłby przedłożenia, gdyby nie był pewnym, że znajdzie w delegacyi zawsze większość za sobą.

Stransky dowodzi, że mowa tronowa, jako też mowa prezydenta delegacyi i exposé ministra spraw zagranicznych zgodnie stwierdziły, że Austrya formalnie opływa w pokoju; mówca pyta zatem, skąd grozi niebezpieczeństwo? Jeżeli mówca zwalcza przedłożenie o kredycie 400-milionowym, to nie dla rzeczy samej, lecz ponieważ przedłożenie to tak nagle i niespodziewanie przyszło. Głosować będzie tylko wtedy za kredytami, gdy uzna, że faktycznie nadeszła chwila, w której zbrojenia są niezbędne. Co się tyczy bitności wojska, to nawet ministerstwo wojny nie bierze na seryo tej kwestyi, mniej może jak niejeden z delegatów. Najlepszym dowodem jest to, że w roku ubiegłym zażądano podwyższonego kontyngentu rekrutów, a cofnięto to żądanie, skoro Węgry nie zgodziły się. Rząd doznał blamażu, a dla zatuszowania jego miały służyć takie środki, jak zmiana kierownika ministerstwa wojny.

Prezydent Jaworski prosi mówcę, aby nie używał takich wyrazów jak „blamaż“.

Stransky powiada, że Austrya nie może się równać z wielkiemi mocarstwami w duchu nowoczesnym, bo nie jest państwem jednolitem. Mówca uważa więc teraźniejsze siły zbrojne za zupełnie dostateczne. Krytykuje dalej system sfinansowania kredytów i zastrzega się przeciw zamierzonemu emitowaniu pożyczki na podstawie § 14. Dla ważności sprawy żąda głosowania imiennego.

Del. dr. Dulęba złożył następujące oświadczenie: Nasze stronnictwo (Koło polskie) uświadamia sobie w zupełności, iż stoi przed poważnem i bardzo doniosłem rozstrzygnięciem. Chce z jednej strony utrzymać mocarstwowe stanowisko monarcii i bezpieczeństwo państwa, z drugiej zaś strony liczyć się musi z faktem, że wskutek przedłożenia wojskowego ludność narażoną będzie na wielkie ciężary i ofiary. Odpowiednio do naszych tradycyj zawsze gotowi jesteśmy przyznać państwu wszystkie środki konieczne do utrzymania i rozwoju siły zbrojnej, w silnem przekonaniu, że wśród dziś istniejących stosunków międzynarodowych, w czasie, gdy wszystkie państwa dokonywają wielkich zbrojeń, Austro-Węgry nie mogą pozostać w tyle i przygotowane być muszą na wszelkie ewentualności w razie niebezpieczeństwa z zewnątrz. Jest zrozumiałem, że po wyjaśnieniach ministra wojny w sprawie planu inwestycyjnego musimy przyznać, że potrzebne inwestycye muszą być przeprowadzone w czasie projektowanym przez zarząd wojskowy. Pozwalam sobie imieniem delegatów polskich oświadczyć, że będziemy głosowali za kredytami nadzwyczajnymi. Co się tyczy zaś finansowej strony, t. j. pokrycia tych wydatków, to nie chcę tej kwestyi tu omawiać, gdyż zajmuję zarówno, jak moi koledzy to stanowisko, że rozstrzygnięcie, w jaki sposób pokrytą będzie część wydatków, przypadająca na tę połowę monarchii, należy wyłącznie do parlamentu austryackiego.

Dr. Dulęba omawiał dalej życzenia przemysłowców austryackich. Minister wojny w swem exposé podniósł już, że nowe zbrojenia dokonane będą głównie przez siły krajowe. Będzie to poniekąd rekompensata dla ludności, za nałożone na nią nowe ciężary. Tych korzyści jednakże mało otrzyma Galicya, gdyż przemysł jej nie jest jeszcze tak rozwinięty, jak w innych krajach i nie ma ona ani fabryk dział, ani też innych przyborów potrzebnych do zbrojeń. Mało więc na nią przypadnie. Mówca uprasza atoli ministra wojny, aby przy rozdzielaniu zamówień na nowe zbrojenia uwzględnił Galicyę i oddał jej zamówienia tych przedmiotów, które w Galicyi mogą być wykonane. Mówca przypomina, iż w Sanoku, Krakowie i innych miejscowościach istnieją fabryki, które już wykonywały rozmaite artykuły dla wojska ku zupełnemu zadowoleniu zarządu wojskowego. Co się zaś tyczy zaprowiantowania wojska, to mówca przypomina, iż w Galicyi istnieją dwie fabryki konserw. Zapotrzebowanie konserw dla trzech galicyjskich korpusów armii wynosi rocznie półtora miliona koron, z czego obie fabryki dostarczyły zaledwie 70 000 koron, a są w stanie pokryć całe zapotrzebowanie. Mówca prosi więc ministra, aby fabryki te uwzględniano przy dostawach w większym niż dotąd stopniu. Dalej domagał się dr. Dulęba, aby udział rękodzielników w dostawach dla armii podwyższono z 25 na 50 prc. i wyraził nadzieję, iż po wygaśnięciu umowy z wielkiemi konsorcyami życzenie to będzie uwzględnione. W końcu wyraził życzenie, aby przy dostawach uwzględniano w większym, niż dotychczas, stopniu galicyjskie spółki dla dostaw obuwia i mundurów i wyraził nadzieję, że minister wszystko uczyni, aby cierpiącej nędzę ludności pośpieszyć z pomocą przez dostarczenie roboty.

Del. Sustersic występuje przeciw temu, aby pożyczka rozdzieloną została między obie połowy monarchii według stosunku dzisiejszej kwoty. Widzi w tem tajemnicę, dlaczego Węgry z tem przedłożeniem się zgadzają. Wskazywanie na wojnę na Dalekim Wschodzie nie jest trafne, gdyż Japończycy zwyciężają nietylko dlatego, że mają doskonałe działa, ale że wojska ich przenika entuzyazm narodowy, który w każdej wojnie jest konieczny. Jakżeż inaczej wygląda w Austryi. Obstrukcya w parlamencie nie jest niczem innem, jak tylko nowoczesną rewolucyą. Zaprowadzenie spokoju wewnętrznego jest koniecznem, gdyż wpływa on na bitność armii.

Del. Parish przemawiał za uchwaleniem kredytów, poczem polemizował z wywodami delegata Stransky'ego, który odmawia monarchii prawa mocarstwa.

Del. Bromberg polemizuje z wywodami del. Stransky'ego co do Izby panów i odpiera zarzut, jakoby członkowie Izby panów nie reprezentowali ludu. Wielu z nich zasiada w sejmach, gdzie p. Stransky nie może odmówić im pożyteczności. Dalej omawia sprawę pojedynków, przypomina aferę hr. Ledóchowskiego i domaga się od ministra wojny zmiany dotychczasowego systemu, który oburza uczucia katolickie i ludzkie.

---

15)

Feljeton literacki.

(Ciąg dalszy).

Jedną z zagadek powodzenia św. Franciszka, była głoszona piękna zasada, że Bóg pragnie miłosierdzia, ale nie ofiary. On też dopiero potrafił rozbudzić ludową imaginacyę, do niej bowiem przemawiał, dla niej tylko pisał. W miejsce jakiejś ubóstwianej księżniczki, którą trubadurzy opiewali, stawia on piękną postać Maryi, a uczniowie jego nawet biorą przykład z prowensalskiej galanteryi, która w pogodne wieczory kazała śpiewać rycerzom na cześć uwielbianych kobiet, i dają początek poetycznemu zwyczajowi dzwonienia na Anioł Pański, który się do dziś dnia utrzymuje w całym chrześcijańskim świecie. Brat Bonawentura wydał na konwencie franciszkańskim w Assisi w roku 1269 rozporządzenie, aby we wszystkich kościołach Franciszkańskich wydzwaniano pozdrowienie Matki Chrystusa. Ave Maria! — to ów hołd miłości, który Franciszkanie składają Maryi, ideałowi cnót niewieścich, najpiękniejszemu kwiatowi poetycznego ducha owych czasów. Ave Maria staje się talizmanem chrześcijańskiego śmiechu, zaklęciem, przynoszącem wieczny spokój i szczęście. Jakiś rycerz, po życiu pełnem przygód, a może i zbrodni, wstępuje do klasztoru, aby się oddać pokucie. Ale głowa jego twarda i znękana, a starca, prócz słów: Ave Maria, żadnej już nawet nie można nauczyć modlitwy. Powtarza on też wiecznie pozdrowienie Maryi i z niem na ustach — umiera. Ale na grobie jego wyrasta cudowny kwiat, który ma na każdym liściu złotem wypisane słowa: Ave Maria. A gdy mnisi chcą przekonać się, gdzie ów kwiat zapuścił swe korzenie i grób rycerza otwierają, z pobożnem zdziwieniem widzą, że korzeń rośliny owinął serce zmarłego.

Tak pisze Fra Bonvesin da Riva z Medyolanu.

W usposobieniu św. Franciszka było wiele rysów, przejętych z francuskiego rycerstwa, a nawet o swych pierwszych towarzyszach wyrażał on się, że są paladynami stołu okrągłego. Jednym z nich był dawniejszy „błędny“ rycerz, frate Angelo Tancredi, a sam Poverello (tak bowiem nazywano zawsze św. Franciszka) stał się — jak go charakterystycznie nazywa któryś z włoskich pisarzy — il Cavaliere errante dell' amor divino. Przez jakiś czas nosił on się z myślą wysłania brata Pacifico, który miał wiele poetyckiego talentu, na wędrówkę, aby frate, idąc w świat, śpiewał chwałę Pana „jak trubadur Wszechmocnego“, a zamiast zapłaty za swą pieśń, żądał pokuty. Brak wszelkiej troski o jutro, pogarda dla materyalnego świata, pociąg do życia pełnego przygód, nadzwyczaj szlachetne zachowanie się w każdem trudnem zdarzeniu, a zresztą tradycye rodzinne, łączyły brata Franciszka z ideałami rycerstwa.

Gdy raz szedł do Rzymu, napadli go rozbójnicy. Z dobrotliwym uśmiechem i właściwym sobie humorem, odpowiedział im: io sono il trovatore del gran Re (jestem trubadurem wielkiego króla) i zaśpiewał im jakąś prowensalską piosnkę.

Zakon Franciszkanów taką sobie pozyskał sympatyę, że ludzie zamożni spodziewali się łatwiej dostać do nieba, jeżeli w ich klasztorze będą pochowani. To też np. ich klasztor w Sienie stał się miejscem spoczynku wszystkich prawie większych sieneńskich rodów, tylko lichwiarzy nie przyjmowano. Znajdowały się więc tam piękne grobowce Tolomeich, Salimbenich, Salvanich itd. i kościół Franciszkanów napełnił się w ciągu czasów dziełami sztuki; niestety prawie wszystkie te świetności spaliły się w r. 1655.

Zaciszne na zewnątrz mury franciszkańskiej siedziby były jednak świadkami zaciętych walk o przekonania, o zasady, których echo odbijało się o świecką ludność. Sieneński klasztor ważne w tej mierze zajmował miejsce.

Po śmierci założyciela generał zakonu Eliasz, stanął na czele tych, którzy ubóstwo uważali za poetyczną mrzonkę, dążył do despotycznej w zakonie centralizacyi, gromadził fundusze na budowę wspaniałego kościoła w Assyżu, zakonników traktował jak wódz żołnierzy, nosił się dumnie i hardo. Gdy papież Grzegorz IX usunął Eliasza z powodu jego konszachtów z Fryderykiem II, zaczął się w klasztorach Franciszkańskich szerzyć kierunek mistyczny, którego prorokiem był Joachim de Flore, opat Cystersów w Corazzo, żyjący jeszcze przed św. Franciszkiem. Ten to mnich, il calavrese abate Giovacchino di spirito profetico dotato, jak go Dante nazywa, najwięcej przyczynił się do panującego przed ukazaniem się św. Franciszka zwątpienia w naprawę rzymskich stosunków i do rozszerzenia się strasznego pesymizmu. Uwolniony od obowiązków opata, szedł od klasztoru do klasztoru zaszczepiając we wszystkich pogardę spraw ziemskich. Słowa wędrownego mnicha trafiały do przekonania, bo duch spokoju i jakiejś niebiańskiej pociechy wiał od tego apostoła. Nauka Joachima pełną była ciemnego mistycyzmu, zapowiadał on straszliwe religijne przesilenia, które miały nastąpić w połowie XIII wieku, mówił, że w r. 1260 Antychryst powali chrześcijańską ludność, że cały porządek kościelny wraz ze stolicą apostolską runie pod tymi ciosami i że największe wszystkich ogarnie zwątpienie, a dopiero po tych próbach i klęskach zabrzmi trąba archanioła i misterya zawarte w piśmie świętem będą objawione. Uspokojenie i pociechę na przyszłość czerpał Joachim z Apokalipsy, uczył, że trzeci, najpiękniejszy okres chrześcijańskiego rozwoju ludzkości niebawem nadejdzie. Po epoce Ojca i Syna, ma nastąpić, począwszy od r. 1260, okres Ducha Świętego. Ostatnie dziesiątki lat przed ową chwilą miały być przygotowaniem do wielkiej walki: z jednej strony powstawały zakony, z drugiej gromadził Antychryst swoje siły.

Po śmierci Joachima w r. 1202 św. Franciszek uspokoił chwilowo społeczeństwo włoskie swą ewangelicką miłością, wyrwał umysły z rozpaczliwego pessymizmu, ale gdy nie stało tego pocieszyciela, znów zaczęły w duszach nurtować niepokoje, zwłaszcza, że krytyczny r. 1260 zbliżał się, a mistycy powszechnie uważali Fryderyka II. za owego wysłańca złych duchów, który ma zniszczyć papiestwo. Najzagorzalszym krzewicielem idei Joachima stał się Franciszkanin Girard da Borgo San Domino, który napisał obszerny komentarz do „Evangelium aeternum“ Joachima i za to został przez papieża Aleksandra IV. pozbawiony profesury w Paryżu i skazany na dożywotnie więzienie.

Siena była jedną z głównych fortec tego mistycyzmu. Tam żył Fra Fernando da Quintavalle, który z rąk samego św. Franciszka otrzymał habit zakonny, tam nauczał Fra Hugo, jeden z najwybitniejszych po Girardzie przedstawicieli nauki Joachima. Ten to Fra Hugo z Barcola, Prowansalczyk, wielki wpływ wywierał na zakonników. Jak pisze sieneński kronikarz Salimbene, był to znakomity kaznodzieja, którego „głos brzmiał, jak głos trąby niebieskiej, albo jak huk strasznego grzmotu, lub rozbijających się fali morskich“. Roskoszą było słuchać, gdy mówił o uciechach raju, a zgroza przejmowała, gdy kreślił męki piekielne. Hugo był średniego wzrostu, miał twarz ogorzałą, a oko ogniem duszy płonęło. Widząc go, można było myśleć, że to drugi Paweł lub Eliasz, a kto go słyszał mówiącego, drżał jak sitowie na moczarze — pisze Salimbene.

Gdy jednak Fryderyk II. umarł, powstało w obozie Joachitów zamięszanie, gdyż święcie wierzyli, że cesarz nie umrze, dopóki nie spełni swego zadania, jako antychryst i nie zniszczy Stolicy Apostolskiej.

„Przeraziłem się — pisze Salimbene — na wiadomość o śmierci Fryderyka, słuchałem, a wierzyć nie chciałem. Byłem bowiem Joachitą i sądziłem, że Fryderyk jeszcze większe, aniżeli dotąd sprowadzi nieszczęścia“.

Ale Joachici wkrótce sobie poradzili i nie chcąc stracić wpływu, innego wynaleźli Antychrysta. W r. 1258 spotkał Salimbene wielkiego Joachitę Girarda da Borgo, a stawszy się trochę niedowierzającym po śmierci Fryderyka, spytał franciszkańskiego profesora, kiedy się wreszcie obiecywany Antychryst narodzi.

— Już się narodził — odrzekł Girard — już nawet rządzi i niebawem przeprowadzi swe straszne zamiary.

— Znasz go?

— Nie, ale wiem o nim z Pisma świętego.

I przyniósł biblię i tłómaczył na podstawie ośmastego rozdziału proroka Izajasza, że Antychrystem jest bez najmniejszej wątpliwości król Alfons z Kastylii.

W ten sposób Joachici zamiast Fryderyka II, znaleźli innego Antychrysta, a ruch mistyczny jeszcze się silniej objawił, gdy „biczownicy“, owi Disciplinati di Jesu Christo zstąpili z gór umbryjskich w r. 1258.

Wezbranie mistycznego fanatyzmu nie było nowem we Włoszech, bo już raz w r. 1233, tak zwanym roku „Alleluja“ ogarnął środkową i północną część kraju szał religijny, wywołany przez mnicha dominikańskiego Jana z Vizenzy. Franciszkanie i Dominikanie przebiegali kraj, wzywając do pokuty. Około ich ambon zbierały się bractwa kościelne z chorągwiami i lud, niosący zielone gałęzie lub jarzące świece. Śpiewano pieśni nabożne, chóry dzieci powtarzały psalmy. Całe osady, mężczyźni, kobiety, młodzież i starcy, przyłączali się do procesyi. Zapominano sobie nawzajem uraz, na chwałę Bożą, nieprzyjaciele całowali się, jak gdyby byli pijani boską miłością.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Del. Kramarz po krótkiej polemice z wywodami del. Bromberga potępia nadużywanie przez rząd §. 14 i zapowiedziane nadużywanie §. 10. Oświadcza, że nie wątpił ani na chwilę, iż rząd austryacki pominie w tej sprawie wszystkie drogi legalne.

Przewodniczący, wiceprezydent delegacyi, baron Gautsch, przerywa mówcy i oświadcza, iż nie dopuści do podobnego wyrażania się o rządzie.

Del. Kramarz: Dziękuję Waszej Ekscelencyi imieniem rządu austryackiego za jego obronę i za uprzejme przestrzeganie jego reputacyi, która atoli nie może już być popsutą.

Bar. Gautsch przerywa ponownie mówcy.

Del. Kramarz do bar. Gautscha: Czemuż to ja mam takie szczęście, że właśnie teraz, gdy przemawiam, pan kierujesz obradami. (Wesołość, przewodniczący dzwoni). Mówca omawia w dalszym ciągu położenie ekonomiczne ludności i krytyczny stan budżetu austryackiego. Zwracając się do strony politycznej, oświadcza, że chociaż Czesi pragną mieć silną i niezawisłą Austryę, to jednakże tym razem muszą głosować przeciw budżetowi wojskowemu. Występując przeciw wywodom del. Bromberga, który Czechom zarzucał, że zmuszają rząd do stosowania § 14, podnosi Kramarz, że rząd nic nie czyni dla sanacyi zabagnionego parlamentaryzmu i że wprost niweczy wszystkie próby jego uzdrowienia, umacniając Niemców w oporze przeciw żądaniom czeskim. Temu stanowi rzeczy trzeba raz koniec położyć. Czechom pozostanie wobec historyi jedna pociecha, że na czas ostrzegali, a odpowiedzialność za obecną nieszczęsną politykę muszą ponieść ci, którzy obecnie nią kierują. (Oklaski na ławach Czechów).

Del. Madeyski polemizuje z wywodami Stranskyego o członkach Izby panów. Nie są to właściwie żadne zarzuty. Stary parlamentarzysta musi być wogóle wobec mówców opozycyjnych bardzo pobłażliwy. Rzecz łatwa do pojęcia, że jeżeli człowiek myślący musiał sobie postawić za zadanie ścisłe ograniczenie zakresu myślowego do granic programu partyjnego i ten zakres myśli przez całe lata parafrazował, to w końcu musiała nadejść chwila, czy to z litości dla siebie samego, czy też dla bliźnich, w której poczuł potrzebę jakiejś odmiany. P. Stransky postawił tezę, że tylko ci członkowie delegacyi są bezstronni, którzy swój mandat zawdzięczają wyborowi. A przecież myślą przewodnią przy składzie ciał ustawodawczych jest rozważanie każdej kwestyi z dwóch przeciwnych punktów, mianowicie z punktu dobra ogółu i interesów indywidualnych, tak, aby otrzymać przeciętne zdanie i uzyskać korzyść ogółu.

Stanowisko ogółu zastępuje w pierwszym rzędzie rząd. Stanowisko interesów indywidualnych zastępują posłowie wybierani. Między rządem a posłami postawiła konstytucya pierwiastek pośredni i powołała do Izby panów takich ludzi, którzy nie stoją w wirze życia, a są w stanie ocenić żywotne interesa. Właśnie przez zamianowanie mają członkowie Izby panów zadanie ułatwione, gdyż nie podlegają presyi chwilowych prądów, a dobra publicznego bronią od dążeń separatystycznych. Izba panów w Austryi spełnia tę misyę według najlepszych sił i w przyszłości będzie ją spełniała. Bezstronny sąd jest wynikiem stałego charakteru i silnych przekonań; jest to jednakże rzecz tak indywidualna, że ani wybór, ani mianowanie nie może na nią wpłynąć. Rozwój parlamentarny w Austryi tworzy ważny epizod w historyi, co do którego doniosłości niejeden polityk nie może utworzyć sobie jeszcze zdania. Mówca kończy zapewnieniem, że Izba panów w Austryi także w przyszłości okaże zawsze odwagę przekonania. (Żywe oklaski).

Po faktycznych sprostowaniach minister wojny Pitreich z naciskiem wykazywał potrzebę uchwalenia kredytów wojskowych. Po końcowym referacie Popowskiego, bez dyskusyi szczegółowej, przyjęto przedłożone kredyty w zwykłem głosowaniu.

Na wczorajszem posiedzeniu odczytano interpelacyę do ministra spraw zagranicznych w sprawie zamierzonego zwinięcia austryackiego przytuliska, utrzymywanego przez austryackie Towarzystwo w Nowym Jorku. Interpelanci zapytują ministra, czy zechce zarządzić co potrzebne, celem utworzenia przytuliska dla emigrantów z Austryi, zostającego pod dozorem państwowym i czy poczyni odpowiednie zarządzenia, aby przy przytulisku tem urządzone zostało biuro pośrednictwa pracy i biuro informacyjne.

Następne posiedzenie dziś o godz. 10 przedpołudniem. Na porządku dziennym kredyt okupacyjny.

Nowoczesny dziennikarz.

Postanowiłem poświęcić się literaturze, do której miałem nietylko wielkie zamiłowanie, ale i talent prawdziwy. Napisałem tragedyę wierszem i zaniosłem ją dyrekcyi teatru. Przez kilka miesięcy, ile razy zgłosiłem się do dyrekcyi, chcąc się o losach mojego utworu dowiedzieć, odsyłano mnie od Annasza do Kajfasza, to jest od sekretarza do reżysera, od reżysera do jakiegoś wpływowego aktora i t. d., aż wreszcie zwrócono mi rękopis z nadmienieniem, że rzecz nie może być grana, albowiem publiczność nie chodzi teraz na tragedye, pisane wierszem, tylko na pornograficzne sztuki. Że do nich nie miałem talentu, spróbowałem, czy nie możnaby w inny sposób piórem zarobić. Wybrałem z mej teki kilkanaście nowel i zaniosłem je do redakcyi jednego z najlepiej mi znanych pism. Po pewnym czasie zwrócono mi je. Przyznawano mi talent, ale dziś tyle osób pisze! Każda redakcya ma fejleton, zajęty na lat kilka. Radzono, bym się poświęcił dziennikarstwu, jeżeli chcę żyć z pióra. Napisałem więc kilka pięknych artykułów: o sposobach uprzemysłowienia Galicyi, o środkach podniesienia gospodarstw włościańskich, o nowej metodzie karmienia niemowląt i t. p. Żaden jednak z tych artykułów nie został przyjęty do druku. Nie były aktualne, a właściwie nie były sensacyjne.

Redaktor najpoczytniejszego pisma rzekł mi: „Jeżeli pan chce żyć z dziennikarstwa, musisz pan iść z duchem czasu. Dziś, panie, publiczność żąda niesłychanych wypadków, skandali, morderstw i wyrafinowanych zbrodni. To publiczność czyta z zamiłowaniem, to ją rozrywa, kształci i budzi sensacyę. Gdyby się pan chciał poświęcić reporterstwu w wielkim stylu, zyskałbyś nietylko zarobek dobry, ale reputacyę znakomitego dziennikarza, oraz poważanie i uznanie czytelników.“

Poszedłem za radą genialnego redaktora i powiodło mi się w zupełności. A oto jakim sposobem:

Często bardzo w niedzielę chodziłem sobie na spacer za miasto. Był niedaleko lasek, przez który rozchodziły się dwie drogi mało bardzo uczęszczane. Przy jednej z nich był lichy, stary domek, a w nim sklepik z produktami spożywczemi przez jakąś niepoczesną babinę, panią Wąsikowską, utrzymywany. Wstępował tu czasem jakiś chłop przejezdny, furman, albo robotnik, wracający z fabryki do sąsiedniej wsi. Jak w podobnych sklepikach, były bułki, chleb, serdelki, kiełbasa, tytoń, papierosy itp.

Zdarzyło się parę razy, że mi się jakoś jeść zachciało bardzo, więc wstąpiłem i kupiłem parę serdelków i bułkę.

Wąsikowska była kulawa, już stara, chuda i bardzo małomówna. Czasem się tylko coś do mnie odezwała, narzekając na złe czasy, na biedę i na brak zdrowia. Mieszkała sama jedna. Przyszło mi na myśl: po co ta kobieta żyje? Czy nie lepiej byłoby dla niej, żeby nie żyła?

Pewnego tedy piątku, gdy wyszedłem na zwykły spacer w tę stronę, zerwała się burza i ulewa. Schroniłem się do Wąsikowskiej. Po raz pierwszy uśmiechnęła się do mnie i pierwsza zaczęła rozmowę.

— Ach, co to za czas okropny. Od samego rana nikt dziś nie przejeżdżał. Pana pierwszego widzę.

Jakiś dziwny dreszcz mnie przeszedł. Coś niezwykłego, niewytłómaczonego zaszło we mnie. Błysnęła mi myśl, jak iskra elektryczna, że to pyszna okazya do nadzwyczaj sensacyjnego wypadku, tajemnicą pokrytego. Więc żeby się nie namyślać i odwagi nie stracić, jednym skokiem rzuciłem się na Wąsikowską, siedzącą spokojnie za ladą sklepiku i z całej siły dusiłem ją za gardło. Krzyknęła, zacharczała i głową opadła na ladę. Chustka zleciała jej z głowy i rzadkie strzępy siwych włosów rozczochrały się w nieładzie. Widok był wstrętny. Ostatnie, lekkie jeszcze chrapanie starej baby było słychać.

Pośpiesznie otworzyłem szufladę, porwałem portmonetkę, w której było osiem koron i leżącą przy niej starą broszkę, ozdobioną kilku drobnemi brylancikami. Nie oglądając się, wybiegłem i przyśpieszonym krokiem wróciłem do miasta. Nikt mnie nie widział, nikogo nie spotkałem, bo deszcz lał ciągle.

Przez trzy dni potem z niecierpliwością przeglądałem gazety i kuryery. Żadnej wzmianki o zabójstwie. Byłem zdesperowany. A może Wąsikowska tylko zemdlała, a nie umarła? To byłby okropny zawód!

Wreszcie na czwarty dzień czytam reporterską wiadomość o zamordowaniu Wąsikowskiej, ale zarazem powątpiewanie, czy to była popełniona zbrodnia, czy też apopleksya zwyczajna. Byłem zmartwiony. Na szczęście, wieczorne dzienniki doniosły, że według opinii doktorów, było to morderstwo i że zbrodniarz jest przez policyę poszukiwany. Odetchnąłem. Szeroka droga mojej specyalności otwierała się przedemną. Trzeba tylko było umieć zręcznie wziąć się do tego.

Poszedłem tedy nazajutrz, jak zwykle co tydzień, do redakcyi najpoczytniejszego w mieście pisma porannego, i spokojnie podałem rękopis poematu nowego, prosząc, żeby był wydrukowany.

Redaktor ofuknął mnie poprostu.

— Mój panie! — zawołał — co mi pan tu zawracasz głowę teraz jakiemiś swojemi wierszami, czy tam poematami. Mam ważniejsze dziś sprawy dla dziennika. Popełnione zostało przed trzema dniami okropne morderstwo za miastem, w warunkach tajemniczych, i właśnie wysyłam teraz najzdolniejszych reporterów, ażeby zebrali wiarygodne informacye. Prasa ma dziś wielkie zadania społeczne. Policya, agenci śledczy to już przestarzałe instytucye. Dziś prasa musi ich zastąpić i stanąć od nich wyżej dla dobra publicznego. Dobry reporter (a mamy ich mnóstwo) potrafi o wszystkiem się dowiedzieć, wszystko zrozumieć, wykryć tam, gdzie niby fachowcy, niby specyaliści na niczem się nie znają. Reporter kryminalny, to podpora i chluba dziennika, a więc kraju, narodu i społeczeństwa.

— Ach panie redaktorze! Cóż to za wielkie słowa i wielkie prawdy pan wyrzekłeś. Czuję, że mam w sobie zapał do takiego powołania. Niech pan mi pozwoli wziąć udział w tak wspaniałych celach. Zobaczy pan, co potrafię!

Ironicznie się uśmiechnął i niedowierzająco na mnie spojrzał. W końcu odpowiedział:

— No, spróbuję. Możesz pan jutro tam jechać. Ale uprzedzam, że ani żadnego honoraryum, ani kosztów nie wyznaczam.

Podziękowałem mu gorąco. Byłem uszczęśliwiony, bo już nogę miałem w strzemieniu.

Cały przeszło tydzień upłynął. Nic się nie dowiedziano. Dziennikarze największych pism, policya, tajni łapacze, naprózno szukali, badali, rozpytywali okolicznych mieszkańców, robili rewizye po domach. Wszystko naprózno.

Korespondencye, telegramy dwa razy na dzień drukowały się, za niemi szły sprostowania poprzednich wiadomości, odwoływania podanych już faktów i poszlak, co przyzwoicie wypełniało prawie całe szpalty dziennika.

Zaaresztowano trzy osoby w okolicy, ale po trzech dniach śledztwa wypuszczono je, bo nic się na nich nie pokazało.

Reporterzy byli skonfundowani i smutni. Gnębiło ich najbardziej, że komisarz policyi i agenci jego uśmiechali się ironicznie przy każdem z nimi spotkaniu. Zapowiadało to lekceważenie prasy i upadek jej powagi.

Wyczekałem tej chwili i postanowiłem dopiero rozpocząć moją działalność, aby pokazać czem ja jestem i jaki mam talent.

Na drugim końcu lasku był domek ogrodnika, trudniącego się hodowlą warzyw i owoców, które wywoził na targ do miasta. Miał on starego robotnika, Marcina, ojca dwóch małych dziewczynek, który u niego mieszkał. Udało mi się szczęśliwie, przy rewizyach w tym domku także robionych, rzucić w słomę koło chlewku ową portmonetkę i znaleźć ją potem. Wrażenie było olbrzymie. Fakt oczywisty. Artykuły i telegramy o wykryciu zbrodniarza zapełniły połowę wszystkich pism. Zasługa była moja. Nazwisko moje rozgłoszono wszędzie, ku zazdrości wszystkich reporterów.

Mój redaktor był zachwycony. Nietylko że mi przyzwoite przyznał honoraryum, ale jeszcze dał list do sędziego śledczego, proszący o pozwolenie widzenia się z Marcinem, osadzonym w więzieniu.

Nie mogę zaprzeczyć, że to widzenie się było mi nieprzyjemne. Biedny Marcin płakał, rozpaczał, zaklinał się, że o niczem nie wie, że jest niewinny, że portmonetki nie miał nigdy w ręku i nie rozumie skąd się mogła wziąć u niego w chlewku.

Opisałem w dzienniku szeroko bardzo o tem widzeniu się z mordercą, o tem, jak uporczywie i bezczelnie się wypierał zbrodni, pomimo dowodów tak oczywistych. Artykuł mój zrobił ogromną sensacyę i był przedrukowany w stołecznych i prowincyonalnych pismach. Sława moja się rozeszła.

Odtąd redaktor mnie wyróżnił z pośród wszystkich reporterów i zdublował honoraryum od wiersza.

Sprawa Marcina poszła przed sąd. Mój artykuł przyczynił się do decyzyi, mocą której Marcin skazany został na 20 lat więzienia za morderstwo.

Jak się potem dowiedziałem, Marcin ciągle i w więzieniu dowodził swej niewinności, a przy tem sprawował się tam wzorowo, bez zarzutu.

W końcu żal mi się trochę zrobiło jego żony i dwojga dzieci, bo wiedziałem przecie dobrze, że on niewinny. Pomyślałem sobie, że teraz można wywołać nową, wielką sensacyę i doprowadzić do rewizyi procesu Marcina. Pyszna okazya do nowych sprawozdań, przypuszczeń, w artykułach i telegramach.

Miałem jeszcze u siebie ową broszkę z dyamencikami Wąsikowskiej. Krewni zmarłej opisali ją bardzo szczegółowo w swoim czasie, przy badaniu ich u sędziego śledczego. Było tedy wiadomo doskonale jak ona wyglądała.

Raz tedy, idąc szosą, spotkałem na drodze jakiegoś oberwańca, widocznie przestępcę, bo go prowadziło dwóch strażników. Wymyśliłem sobie pozór jakiś, żeby się zbliżyć, zawiązać rozmowę, poczęstować strażników papierosami, a tymczasem zręcznie bardzo wsunąć w kieszeń prowadzonego oberwańca broszkę Wąsikowskiej nieboszczki.

Rezultat był znamienity. Znaleziono u niego przedmiot do zabitej należący, znany, opisany, — więc dowód był oczywisty, a przytem nowy zupełnie, komplikujący sprawę.

Siedem artykułów i pięć telegramów posłałem o tem do dzienników. Podniosłem w nich przedewszystkiem kwestyę, że Marcin był niesłusznie skazany, że były błędy i braki w procedurze sądowej, że wobec takiego nowego faktu musi być podjęta rewizya jego sprawy.

Opinia publiczna była wstrząśnięta. Szereg moich rozpraw rozumowanych wydrukowały dzienniki stołeczne i prowincyonalne. Pod wpływem powagi takiej, sąd nakazał rewizyę sprawy Marcina i rehabilitował go w nowym wyroku!

Marcin powrócił do domu z więzienia. Rozgłos mego nazwiska, wiadomość, że to ja najwięcej się przyczyniłem do uwolnienia go od niesłusznej kary — doszły do niego. Pewnego dnia przyszli do mnie on, żona i obydwie córki. Z płaczem rzucili mi się do kolan, dziękując za zbawienie ich.

Byłem rozrzewniony naprawdę. Czułem się w tej chwili człowiekiem, co spełnił wielką misyę społeczną.

Po tem wszystkiem, spytałem Marcina:

— No, mój drogi, ale powiedz mi teraz szczerą prawdę, jako twemu przyjacielowi i obrońcy. Ty, czy nie ty zabiłeś Wąsikowską?

Zastanowił się chwilę. Drapał się w głowę, spojrzał mętnym wzrokiem na mnie i tyle tylko odrzekł:

— Albo ja już wiem proszę pana. Albo ja wiem!

Zdumiała mnie ta potęga suggestyi, jaką zręcznie w nim wywołałem. Sprytem śmiałym można tedy nawet wiarę w siebie samego w człowieku każdym zachwiać.

Oto, co dzielny zmysł reporterski potrafi w naszych czasach dokonać!

Dałem sobie jednak pokój z temi dziecinnemi rozmyślaniami filozoficznemi.

Moja karyera dziennikarska, poczytność, wziętość — były już ustalone. Czułem, że stoję już wyżej, aniżeli słynny niegdyś w przeszłym wieku Blowitz, reporter *Times'a*. Co on w porównaniu ze mną?

Słusznie też redaktor pieścił, płacił, wyróżniał mnie odtąd wyjątkowo.

Powtarzał mi nieraz: „A widzisz pan, ile mi zawdzięczasz, na kogo w mojej szkole wyszedłeś? Zrobiłem z pana wielkiego i głośnego pisarza. Bazgrząc swoje rozumowane artykuły wstępne, poezye, rozprawy o rzeczach społecznych, zmarniałbyś był i do niczego nie doszedł. — Komu się chce takie banialuki czytać dzisiaj? Pretensye do poważnego dziennikarstwa, to zaśniedziałe, przestarzałe pojęcia. Sensacya, wypadki kryminalne, opisy rzeczy strasznych, to grunt i żywioł współczesnego dziennika, bo w tem się lubuje czytelnik i za to płaci prenumeratę. Nie szkodzi także pamiętać o skandalach domowych, o oskarżaniu w nadużyciach ludzi znanych lub instytucyj publicznych, o łajdactwach ministrów i t. d. To pieprz konieczny, żeby potrawa smakowała, a dziennik miał rozgłos.

Mądry, doświadczony i praktyczny był mój redaktor. Miał wielką racyę, bo umiał zrozumieć ducha swego czasu. Dziennik jego stanął świetnie.

Wojna rosyjsko-japońska.

(Ze źródeł rosyjskich).

Petersburg 1 czerwca. Rosyjska agencya telegraficzna donosi: Celem osiągnięcia jednolitych zarządzeń, mających na celu obronę wybrzeży morza Bałtyckiego, odpowiednio do czasu wojennego, zarządził ukaz carski oddanie komendantowi fortecy kronsztadzkiej naczelnej komendy nad portami w Rewlu, Sweaborgu i Libawie, oraz nad siłami wojskowemi na morzu Bałtyckiem, przy równoczesnem zamianowaniu go komendantem floty i szefem obrony tego morza.

Petersburg 1 czerwca. Urzędowo donoszą: Sztab jeneralny stwierdził, że w dniach 29 i 30 z. m. w okolicy Fengwangczengu panował spokój. Dnia 27 z. m. o wpół do 11 wieczorem japońska piechota z Kwantiansiau rozpoczęła atak z frontu i z boków na kozaków, którzy stali koło Szanko. Japończycy otworzyli nieregularny ogień i oświecali rosyjskie pozycye reflektorami. Kozacy cofnęli się do wąwozu Czanli, o dwie wiorsty na zachód od Szanko, a następnie aż do Aimiannin, o 16 wiorst od tego wąwozu. Ogień ustał dopiero o godz. 2 w nocy. Japończycy u wejścia do wąwozu zaniechali pościgu. Rano d. 28 z. m. kolumna japońska zbliżyła się do Aimiannin, cofnęła się jednakże wkrótce i ustawiła na wzgórzu na zachód od tego miejsca. O 10 przed południem dwa bataliony ustawiły się w szyku bojowym, podczas gdy trzeci stał w rezerwie. O godz. 11 przybyła japońska baterya i rozpoczęła ogień. Podczas przejścia przez dolinę rzeki japońska piechota odniosła znaczne straty. O godz. 11 min. 29 przed południem kozacy, spostrzegłszy, że wojska japońskie obchodzą ich bok, cofnęli się w porządku ku Saimatsi. Ogień ustał o godz. 2 po południu. Straciliśmy 2 oficerów i 7 kozaków. Dnia 30 z. m. Japończycy posunęli się w kierunku Saimatsi. Przy nadawaniu telegramu jeszcze do tej miejscowości nie doszli.

Dnia 29 z. m. miejscowość Siujan nie była przez Japończyków obsadzona. Na wybrzeżu koło Inkau i Kaiczou panował spokój. Dnia 30 z. m. około południa odbyła się koło stacyi kolejowej Wanganfun walka między naszą kawaleryą a Japończykami, którzy byli w sile 8 kompanij, 8 szwadronów z czterema mitrajlezami. Podczas walki sotnia kozaków zaatakowała jeden szwadron japoński i prawie zupełnie go zniosła. Następnie sotnia zaatakowała piechotę, musiała jednakże wobec ognia działowego cofnąć się. Marsz japońskiej piechoty, która chciała obejść nasze prawe skrzydło, powstrzymaliśmy ogniem działowym, który nieprzyjacielowi wyrządził ogromne szkody. Naszych strat jeszcze nie obliczono. Ranni są: jeden oficer i 21 żołnierzy.

(Ze źródeł japońskich).

Tokio 1 czerwca. Admirał Togo wysłał wczoraj rano cztery kanonierki, dwa kontrtorpedowce i dwa torpedowce przed Port Artur. Okręty te, wśród silnego ognia nieprzyjacielskiego, przedsięwzięły rekonesans i stwierdziły, że Rosyanie urządzili na jednym z dwóch nowych fortów na wzgórzu Liaoteszan nową stacyę reflektorów. Kanonierka nr. 3 została trafiona przez pocisk nieprzyjacielski, przyczem zginął jeden podoficer i trzech żołnierzy. Jedno działo zostało uszkodzone.

Tokio 1 czerwca. Jenerał Oku donosi, że wojsko japońskie obsadziło wczoraj Dalny. Przeszło 100 sklepów, koszary, urząd telegraficzny i dworzec, były nieuszkodzone i około 200 wagonów znaleziono do użycia. Natomiast wszystkie w okolicy mosty kolejowe są zniszczone. Doki są nienaruszone; u wejścia do nich zatopiono małe parowce.

Czifu 1 czerwca. Wczoraj wieczorem przybyło tu 500 chińskich zbiegów z Dalnego i Talienwan. Jak się zdaje, Rosyanie Talienwan opuścili dnia 26 z. m. i udali się do Port Artura. Według doniesień tych zbiegów, Rosyanie kanonierkę „Bóbr“ i trzy znajdujące się tam łodzie torpedowe zniszczyli, inni jednak twierdzą, że je przewieźli do Port Artura. Dalej donoszą, że rozbójnicy żądają od mieszkańców kontrybucyi. Dnia 28-go z. m. miasto jeszcze się paliło. Rozbójnicy zatopili małą łódź chińską z 50 Chińczykami.

Londyn 1 czerwca. Z Tokio donoszą, że jenerał Oku, który dowodził przy szturmie na Kinczou, będzie prowadził oblężenie Port Artura. Będzie on miał w tym celu pod swymi rozkazami 50—60 tysięcy żołnierzy.

Londyn 1 czerwca. Do *Standarda* donoszą z Tientsinu, że japoński poseł w Pekinie zażądał dnia 24-go b. m. natychmiastowej odpowiedzi na pytanie, czy Chiny gotowe są zająć zdobyte przez Japończyków obszary Mandżuryi i prowadzić tam administracyę. W przeciwnym razie Japonia zwróci się do innych mocarstw z prośbą, by to uczyniły na koszt Chin.

* * *

Londyn 1 czerwca. Dzienniki tutejsze pełne są najwyższych pochwał dla wojska japońskiego z powodu walki pod Kinczou.

Times zwraca uwagę na wyższość dowódzców japońskich nad rosyjskimi. Z tego, iż jenerał Oku dążył do zdobycia za wszelką cenę wzgórza Nauszau, pismo to wysnuwa wniosek, że Japończycy nie myślą jedynie odciąć załogę rosyjską w Port Arturze i uniemożliwić odsiecz, gdyż ten sam cel mogliby osiągnąć przez silne obwarowanie panującej nad okolicą góry Sampson i innych wzgórz na północ od Kinczou. Przeciwnie widocznym celem Japończyków jest zdobycie Port Arturu. Do tego celu potrzebne są wielkie działa oblężnicze, które niebawem zostaną przewiezione tam okrętami. W przeciwstawieniu do umiejętnego kierownictwa armii japońskiej krytykuje *Times* ostro Kuropatkina i zapytuje, czy on ciągle jeszcze, straciwszy dotąd już 104 działa i kilka tysięcy żołnierzy, nie będzie się troszczył o operacye japońskie, lecz dalej zadowoli się koncentracyą swej armii koło Liaojanu?

Jeszcze bardziej entuzyastyczną pochwałę Japończyków zamieszcza *Daily Telegraph*. Pismo to wprost powiada, że wobec takiej waleczności, jaką okazała armia japońska pod Kinczau, żadne wojsko na świecie nie mogłoby jej trwale stawić oporu. Że straty japońskie były tak wielkie — a dla przykładu przytaczają, że z 17-go batalionu japońskiego pozostało przy życiu tylko 21 żołnierzy — to tłómaczy się między innemi tem, że tak znaczny oddział wojska japońskiego był skupiony na małym terenie.

Daily Chronicle pisze, że sfery militarne z zaciekawieniem oczekują, co pocznie teraz Kuropatkin po tej porażce rosyjskiej, która przyniosła tak znaczną ujmę powadze militarnej Rosyi w Azyi wschodniej.

Z izby sądowej.

Wiedeń 30 maja.

(O podburzanie.)

Odbyła się tu przed trybunałem kasacyjnym rozprawa, której przedmiotem było zażalenie p. Michała Petryckiego, redaktora *Hajdamaków*, skazanego niedawno przez trybunał lwowski za podburzanie przeciw Polakom i szlachcie, propagowane w *Hajdamakach*. W zażaleniu swojem powołał się p. Petrycki między innemi na to, że podczas rozprawy przed sądem przysięgłych we Lwowie nie odczytano różnych aktów sądowych, stwierdzających nadużycia, jakich, zdaniem jego, dopuszcza się partya polska, rządząca w Galicyi. Dokumenta te, zdaniem obwinionego, wykazałyby niezbicie, że celem *Hajdamaków* jest tylko obrona przeciw gwałtom i bezprawiom, a nie szerzenie nienawiści narodowościowej. Dalej żalił się p. Petrycki na to, że trybunał lwowski stawiając pytania sędziom przysięgłym nie dopuścił dodatkowego pytania w tym kierunku, czy oskarżony, pisząc inkryminowane artykuły, działał w dobrej wierze i był w błędzie co do granic swobody w polemice dziennikarskiej. P. Petrycki twierdzi, że był w takim błędzie, widział bowiem, że *Słowo Polskie* i *Dziennik polski* piszą o sprawach polsko ruskich w tonie jeszcze ostrzejszym i bardziej jątrzącym niż *Hajdamaki*, a mimo to prokuratorya ich nie konfiskuje.

Trybunał kasacyjny po naradzie odrzucił zażalenie p. Petryckiego, motywując to tem, że powołane przezeń akta odnoszą się do zachowania się władz w Galicyi, a nie szlachty i Polaków, oraz że o błędzie wyklucza[illegible] odpowiedzialność oskarżonego, może być [illegible] wtedy mowa, gdy ten błąd odnosi się do [illegible]tycznego stanu rzeczy, co tutaj nie ma miej[illegible]

KRONIKA.

Lwów 1 czerwca.

Pogrzeb ś. p. Tadeusza Romanowi[illegible] odbył się wczoraj popołudniu według programu [illegible]danego przez nas wczoraj.

O godzinie 4-tej odprawił X. prałat Lenk[illegible]wicz, w asystencyi licznego świeckiego duchowi[illegible]stwa i całego zakonu OO. Bernardynów, egz[illegible] poczem Sokoli wynieśli trumnę przed dom. P[illegible] śpiewaniu przez chór akademicki pieśni żało[illegible] *Beati mortui* przemówił marszałek krajowy [illegible] Badeni. Wyrażając żal szczery z powodu s[illegible], jaką poniósł kraj przez śmierć ś. p. Romano[illegible] scharakteryzował jego działalność. Wystąpiła [illegible] najświetniej w chwili, kiedy wyborcy powie[illegible] mu mandat z miasta Lwowa do Sejmu i gdy [illegible]źniej Sejm wybrał go członkiem Wydziału k[illegible]wego. Szczególniej gorąco troszczył się zma[illegible] wszystko, co mogło podnieść oświatę ludu, [illegible] co mogło się przyczynić do wzmocnienia przem[illegible]u krajowego. Jako członek Wydziału krajowego [illegible]ał żywy udział we wszystkich jego pracach, [illegible]ąc przykładem dla wszystkich swą stanowczoś[illegible] i taktem, a zwłaszcza gorliwością.

Po marszałku przemówił dr. Rutowski [illegible]eniem stolicy kraju i stronnictwa demokratyczn[illegible]go, oraz p. Wybranowski imieniem uczestników po[illegible]tania, poczem kondukt żałobny ruszył na cmentarz Łyczakowski. Na czele jechał oddział konny Sokołów.

Nad grobem przemawiali: p. Adam Krechowiecki, imieniem dziennikarzy polskich; dyrektor Terenkoczy imieniem Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych; p. Fiszer imieniem Związków Sokolich; p. Konopiński imieniem *N. Reformy* i przyjaciół z Krakowa; wreszcie reprezentant stronnictwa ludowego p. Stapiński i reprezentant polskiej młodzieży akademickiej, p. Kochański.

Dzięki prześlicznej pogodzie zgromadziło się ogromnie dużo publiczności dla oddania ostatniej posługi ś. p. Romanowiczowi. Złożono też na jego trumnie bardzo wiele wieńców — między innymi od Tow. dziennikarzy polskich, redakcyi kilku dzienników polskich, od fundacyi hr. St. Skarbka, od wydziału krajowego, miasta Lwowa, urzędników Wydziału krajowego, kluku demokratycznego polskiego, ministra Piętaka, członków krajowej komisyi dla spraw przemysłowych, od uczestników powstania i od wielu osobistych przyjaciół zmarłego.

Ucieczka trzech więźniów. Onegdaj wieczorem zbiegło znowu z więzienia śledczego przy ul. Batorego trzech więźniów, śmiałych złodziei i włamywaczy, mianowicie: Jakób Distler, Tomasz Zahorodny i Wolf Bogen. Za przykładem Wierzchołka obmyślili oni plan, który powiódł im się w zupełności. Rozbiwszy kraty wentylatora i wyłamawszy przegródki, dostali się kominem szerokim na strych, i z okienka, od strony budynku gimnazyalnego spuścili się po linie ukręconej z prześcieradeł i sienników na podwórze gimnazyum, stamtąd przeszli na podwórze szkoły realnej, a wreszcie na podwórze realności przy pl. Bernardyńskim l. 9, skąd ich około 11-tej główną bramą wypuściła na ulicę stróżowa. Kilku przechodniów widziało ich uciekających w stronę ulicy Kochanowskiego. Rzecz prosta, że stróżowa ta była w zmowie ze zbiegłymi złodziejami, rozmawiała ona z nimi nieraz przez okno na migi, o czem nawet przed kilku tygodniami zawiadomiono podobno prezydyum sądu. Pomimo tego nie zdołano zapobiedz ucieczce.

Konkursa rozpisują: Wydział Rady powiatowej w Bóbrce na posadę lekarza okręgowego z siedzibą w Strzeliskach nowych, z płacą roczną 1.000 K. i ryczałtem na objazdy w kwocie 700 K. Podania do 1 lipca. — Starostwo w N. Sączu na aptekę sezonową w Żegiestowie. Podania do 15-go lipca. — Senat akademicki Uniwersytetu lwowskiego na ośm stypendyów po 400 K. rocznie z fundacyi ś. p. Czabana, dla uczniów tutejszego Uniwersytetu. — Wydział krajowy na stypendya rzemieślnicze po 600, 800 i 200 K. tudzież pożyczki rzemieślnicze do kwoty 2.000 K., z fundacyi ś. p. Maryi Golejewskiej - Czarkowskiej. Podania do 25 czerwca.

Wycieczka do Wiśnicza. Kilkudziesięciu członków krakowskiego Koła artystyczno-literackiego urządziło w niedzielę gremialną wycieczkę do Wiśnicza, celem zwiedzenia rozgłośnych na całą Polskę ruin zamku książąt Lubomirskich. Obowiązki przewodnika wycieczki objął były właściciel zamku profesor M. Straszewski, który też udzielał wszystkim wyjaśnień. Mówiąc o tej wycieczce, pisze *N. Reforma* o zamku wiśnickim co następuje:

Wspaniałe niegdyś gniazdo i rezydencya rodu Lubomirskich przedstawia zasmucający obraz upadku i zaniedbania. Z chwilą, gdy przed dwoma laty ruiny Wiśnicza, dzięki nawoływaniu opinii publicznej, przeszły napowrót w posiadanie książąt Lubomirskich, zabłysła nadzieja, że można i bogata rodzina poczuje się do obowiązku odnowienia najwspanialszej w Polsce ruiny, uratuje od zagłady kolebkę swego rodu. Wiśnicz był przecież świadkiem wzrostu i rozkwitu potęgi ich domu; tam w klasztorze spoczywają prochy największych i najzasłużeńszych ich przodków: hetmana Stanisława, Jerzego, Herakliusza i kilkunastu innych wybitnych członków rodziny Lubomirskich. Niestety oczekiwania zawiodły. Nowonabywcy, których jest obecnie 16 tu, a którzy reprezentują wspólnie majątek stu przeszło milionów złr., nie spełnili oczekiwań i nadziei.

Wiśnicz jak był, tak pozostał ruiną zaniedbaną, a to, co tam w ostatnich czasach dla oka ludzkiego zrobiono, nie stoi w żadnym stosunku do tego, co zrobić należy dla ratowania zamku. Wzniesiony nad głównym zrębem zamczyska dach zawalił się i kryje już tylko zaledwie połowę murów, reszta wystawioną jest na dobroczynny wpływ deszczu i wiatrów, ułatwiający ich rozsypkę. Urząd konserwatorski nie ustaje w usiłowaniach, aby skłonić właścicieli Wiśnicza do podjęcia konserwacyi gmachu, ale usiłowania te rozbijają się o godną napiętnowania obojętność w tym kierunku. Za to zaniedbanie obowiązku rodzinnego i narodowego spada na ks. Lubomirskich ciężka odpowiedzialność przed potomnością.

Z Petersburga donoszą, że znany rosyjski nowelista Antoni Czechow, udał się na plac boju jako lekarz-ochotnik.

Honorowa odznaka rektora politechniki. Prezydya Towarzystwa politechnicznego we Lwowie i galicyjskich inżynierów, złożone z pp. Syroczyńskiego, Jasińskiego, Rossa, Cybulskiego i Biernackiego, złożyły we wtorek 31 maja na ręce rektora Politechniki, dra Kępińskiego piękny szczerozłoty łańcuch. Łańcuch ten (wykonany według rysunku profesora W. Sadłowskiego) używany będzie w myśl Najwyższego przyzwolenia przez rektorat politechniki, jako honorowa odznaka przy uroczystościach akademickich.

…nobójstwo. Dziś rano o godz. 6-tej po… w szpitalu św. Łazarza prebendaryusz …itala 73-letni staruszek, Sebastyan Żuk, …o stracie żony, która również była preben…ą u św. Łazarza i kilka dni temu umarła.

…lska kopalnia złota w Kalifornii. Dzien…rykańskie donoszą, że polska kopalnia złota …rnii, która przed trzydziestu mniej więcej …ak złych była stosunkach, że przestraszeni …yusze sprzedawali swoje akcye po dolarze, …jeszcze taniej, tak się z biegiem czasu roz…e dziś notują wartość jednej akcyi po 460 … Kruszcu tyle wydobywają teraz z tej ko… dla łatwiejszego dostawiania go do lejarni …zbudować osobną kolej.

…ec obywatelski odbędzie się w niedzielę …godz. 11 przedpołudniem w wielkiej sali …j. Na porządku dziennym: 1) podwyższe… grosza czynszowego; 2) drożyzna w mieście …owie; 3) Wnioski.

Komitet obywatelski, zajmujący się urządze…iem tego zebrania, wzywa wszystkich, którym do…ro miasta i jego mieszkańców leży na sercu, aby …awili się na wiecu.

Trudy pochodu w Mandżuryi. Korespondent dziennika *Nowoje Wremia*, Eft, opisuje trudności, z jakiemi musiała walczyć część 6-tej wschodnio-syberyjskiej brygady w drodze od Liaojang do Fengwanczengu. „Mżył deszcz, pomieszany ze śniegiem. Chłodny wiatr przejmował do kości. Droga, zwykle ohydna, w tej chwili tworzyła gęste błoto, w którem głęboko więzły działa. Nawet lekkie obozowe 2-kołowe wózki grzęzły do połowy kół. W miejscach trudniejszych, kiedy już konie ciągnąć nie mogły, rzucali się ludzie i wspólnym wysiłkiem wyciągali z błota działa. Grunt Mandżuryi posiada szczególną właściwość: wiosną i podczas deszczu zamienia się cały w błoto, na tyle grząskie, że dosyć jednej chwili zatrzymania się w miejscu koni, żeby koła wozów poczęły grzęznąć coraz głębiej. Jeżeli jednak podróż po równej miejscowości przedstawia pewne trudności, to można sobie wyobrazić, jakich prawie nadludzkich wysiłków trzeba było, żeby dostać się na spadziste wzgórze, a cóż dopiero, jeżeli szeregi tych wzgórz coraz spadzistszych ciągną się bez końca. Droga nasza po przez wzgórze — to wyschły górski strumień. Siły koni i ludzi, obsługujących działa, okazały się niedostateczne, trzeba było do każdego wozu, do każdej armaty dodać małe oddziały piechoty. Oto pierwsze działo, dzwoniąc kołami, przy świście batów i nawoływaniu jeźdźców zwolna toczy się pod górę. Nagle zmęczone konie stają. Dziesiątki rąk chwytają za liny, za koła i ciągną zamiast koni, które ustały. Znowu równiejsza droga; konie wspinając się, ciągną armaty bez ludzkiej pomocy.

Takich jednak miejsc, gdzieby mogły ciągnąć konie, coraz mniej; cała praca, cały trud spada na ludzi. Wspinam się na szczyt góry i stamtąd widzę całe podnóże góry, kędy, niby olbrzymi gad, wąską drożyną pełznie długi bez końca szereg dział, jaszczyków, obozowych dwukolnych wózków i ciemne, błyszczące bagnetami rzędy piechoty. W miarę, jak oddział posuwał się naprzód, miejscowość stawała się coraz piękniejszą. Po drodze spotykamy oddzielne chińskie „fanzy"; na szczytach gór świątynie. Chińczycy z dziwną ciekawością przypatrują się nam. Z oblicz trudno wyczytać, sympatyzują z nami, czy też nas nienawidzą? Dotychczas o jednem tylkośmy się przekonali, że wszelkimi środkami starają się wyciągnąć z nas jak najwięcej pieniędzy. Za dziesiątek jaj 65 kopiejek, za konia 560 rubli; przed wojną za takiego konia nie danoby i 100 rubli.

Piątek dla nas był prawdziwym dniem feralnym. Od rana począł padać deszcz i wkrótce zamienił się w potoki spływającej wody. Błotnista droga przemieniła się w coś, co się nie daje opisać. Jako przykład przytoczyć mogę, że koń, któremu w gruncie uwięzła noga, wyciągając ją z błota, urwał sobie kopyto. Z powodu deszczu górskie strumyki przemieniły się w rwące rzeczki. W jednem miejscu prąd powalił na wznak konia z jeźdźcem, który uratował się prawie tylko cudem; konia poniosło w dół".

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 12. w poł. + 16. Bar. 769. Spada. Prześliczna pogoda.

Miłość przed poznaniem.

— Więc zakochałeś się w niej od pierwszego spojrzenia?

— Gdzież tam!.. Jeszcze gorzej! Zanim ją poznałem, jużem się kochał.

— A to jakim sposobem?

— Dowiedziałem się, że ma sto tysięcy posagu.

Prozaiczny.

— Co na panu za granicą największe wywierało wrażenie?

— Rachunki — hotelowe.

Ostatni środek. (Z listu męża).

„Kochana żono! Wracaj natychmiast: czeka na ciebie... krawcowa."

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś we środę po raz 1-szy „Mikado," czyli „Jeden dzień w Ti-Ti-Pu," operetka W. S. Gilberta, muzyka A. Suliwana. — We czwartek z powodu uroczystego święta Bożego Ciała nie ma przedstawienia.

Teatr ludowy. Dziś we środę „Córka pułku," operetka w 4 a. Donizetti'ego. — Jutro nie ma przedstawienia.

Literatura i sztuka.

Stefan Żeromski. *Opowiadania.* Wydanie trzecie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903.

Chociaż to już trzecie wydanie „Opowiadań" Żeromskiego, warto im się teraz bliżej przyjrzeć i zbadać te pierwociny talentu autora w świetle jego dzieł ostatnich. „Opowiadania" zawierały w sobie rozmaite zarodki, lecz przedtem nie wiedziało się, które z nich się rozwiną, a które nie, które są naleciałością literacką, a które stanowią właściwy rdzeń jego talentu.

Jeden z młodych literatów warszawskich, Stanisław Brzozowski, ten, który to rzucił się był na Sienkiewicza za aforyzm o rui i porubstwie, napisał teraz w *Głosie* szereg pochwalnych artykułów o Żeromskim i podniósł jako główną cechę twórczości Żeromskiego, że autor ten „przywraca chwilom ich jedyność i ich teraźniejszość". Zdanie to określa w sposób trochę zanadto abstrakcyjny jako zadanie poezyi uzupełnić zbyt szybko przemijającą rzeczywistość i wynagrodzić człowiekowi poniesione przez tę szybkość straty. Życie daje niejako tylko ramy, które obrazem właściwym wypełnia poezya. Dlatego to Żeromski zdaniem Brzozowskiego przedstawia każdy stan duchowy, radość i smutek, rozkosz i rozpacz, w jak największem natężeniu, dlatego z zamiłowaniem kreśli wszelką ekstazę, dlatego też zaniedbuje kompozycyę, wagę główną bowiem przywiązuje do chwil samych, a nie do ich sumy, wziętej jako całość. Żeromski jest więc z natury swojej lirykiem, lecz ponieważ sam nie rozumie swego talentu, pisze dzieła epiczne.

Wprawdzie szczególnym nam się wydaje autor, który sam nie rozumie swego talentu, trzymajmy się jednak określeń p. Brzozowskiego. Jakże się przebija w „Opowiadaniach" ta dążność Żeromskiego, by dawać chwile w ich najwyższem natężeniu? W ten sposób, że przedewszystkiem na każdym kroku znać samego autora, wypowiada on wszędzie własne swoje myśli, uczucia, spostrzeżenia, ekstazy. W całym tomiku występuje pod różnemi maskami właściwie tylko jedna osoba, a tą jest autor sam. Żeromski, chociaż uchodzi za wielkiego altruistę, nie posiada altruizmu literackiego, nie umie wmyślać się w organizacye psychiczne inne niż własna, dlatego typy i charaktery dla siebie nieprzystępne, kreśli przeważnie tylko z zewnątrz, mówi jak są ubrane, jakie mają oczy, jakie stosunki rodzinne i majątkowe, nawet jakie usposobienie, ale nie pokazuje tych charakterów z wewnątrz, nie pokazuje, jak ich dusza żyje, myśli i czuje. Dlatego też czyny jego osób przeważnie zaskakują nas niespodzianie, bez umotywowania — „tak jest, tak się stało!" i to nam musi wystarczać. Wystarcza jednak w życiu, gdzie każdy fakt, który się stał, nie potrzebuje legitymować swego istnienia, ale nie w powieści.

Z omawianego tomiku najlepiej zdradza właściwości talentu autora najdłuższa nowelka p. t. „Oko za oko". Bohaterem jej jest Adaś Wawelski, akademik, syn wychrzty, zupełnie prototyp Rafała Olbromskiego z „Popiołów". Niby to jakiś społecznik, bo z początku noweli kreśli nam autor scenę, w której Adaś pocałowany w rękę przez kelnera, sam go także w rękę całuje, ale potem nie mamy już nic rzeczy społecznych, same tylko romanse bohatera. Zaznajomił on się z poczciwym, rubasznym szlachcicem, Świerkowskim, który ma w swoim domu dwie piękne kobiety: żonę Zofię i siostrę żony Wandę. Adaś jest ładny i bogaty, więc nie trudno mu najpierw zakręcić głowę Wandzie, która mając nadzieję wyjścia za niego, pozwala się całować na ławce w ogrodzie. Lecz Adasiowi bardziej się podoba pani Zofia. Wanda miarkując to, wyjeżdża na guwernerkę i zostawia Adasiowi wolne pole. Świerkowska nic nie wie o afektach Adasia, lecz, że jest naturą bardzo bierną i dobroduszną, łatwo wpada w jego sidła. Młody uwodziciel straszy ją, że sobie życie odbierze, i tą groźbą zmusza ją do przyjścia na schadzkę, a potem już wszystko idzie jak z płatka. Tymczasem Świerkowski umyślił sprzedać Wawelskiemu swą zagrodę na willę i przedstawia mu to jako złoty interes, pani Zofia bez żadnej złej myśli wspomaga namowy męża i daje w ten sposób Adasiowi podstawy do podejrzenia, że Świerkowscy chcą go „naciągnąć" i dlatego nawet Świerkowski patrzy przez palce na jego umizgi do pani Zofii. Autor jednak porzuca to zawikłanie w połowie i każe Adasiowi po wakacyach wyjechać do miasta. Tam bohater odbiera czułe listy od pani Świerkowskiej, znajduje jednak także Wandę i dalejże z nią romansować— wnet jest z nią na tej stopie, że może jej robić osłonięte dowcipem dwuznaczne propozycye, na które Wanda odpowiada również dowcipnie: po ślubie, chłopczyku, po ślubie... Tymczasem pani Zofia przeczuwając, co się święci, sama przyjeżdża do miasta i ostrzega siostrę. Adaś na widok dawnej swojej kochanki, radby znów z jej względów skorzystać, ale ona mu się wymyka. Znajduje ją wreszcie już w pociągu, na odjezdnem zaklina, by wysiadła i nie doprowadzała go do ostateczności, bo w nim jak w Hamlecie jest coś niebezpiecznego. Na to jednak odpala mu pani Zofia całkiem słusznie:

— W panu jest rzeczywiście coś niebezpiecznego, ale prędzej coś z żyda, niż z jakiegoś tam Hamleta!

I pociąg rusza, a Adaś zraniony boleśnie w swej miłości własnej, biegnie nad Wisłę, chciałby się już utopić, lecz zamiast tego zdobywa się na czyn całkiem inny, równie podły, jak głupi, ale zupełnie w stylu Rafała Olbromskiego: posyła panu Swierkowskiemu wszystkie listy jego żony. Czy robi to z zemsty? Zdaniem autora — nie! Jemu idzie tylko o to, aby „przeciąć wrzód", aby się wszystko wyjaśniło i każdy za swoje winy odpokutował, zwłaszcza zaś spodziewa się pojedynku z Świerkowskim, — ale zawodzi się gruntownie. Na tem się właściwie nowela kończy, a raczej urywa; dowiadujemy się jeszcze tylko ubocznie, że Świerkowski zrobił żonie awanturę, ale teraz już z nią dobrze żyje, sprzedał komuś tam swą lichą posiadłość i wziął dzierżawę.

Otóż całkiem niewiadomo, po co ta historya jest opowiedziana, nie przebija się w niej bowiem żadna myśl przewodnia, nie ma też żadnej charakterystyki wyjąwszy zewnętrznej. Cenne są tylko różne przejścia erotyczne: tęsknoty, zawody, tryumfy — przejścia te skreślone są ze znawstwem prawie wyrafinowanem, co zadziwia trochę u autora tak społecznego i idealnego jak Żeromski. Są tu doświadczenia prawie w guście Maupassanta....

Wybijają się jeszcze w tym zbiorku dwa opowiadania „Doktor Piotr" i „Siłaczka". W obu występuje właściwie ta sama osoba — jestto niejako zarodek przyszłego doktora Judyma z „Ludzi bezdomnych". Jak Judym w tej powieści z przyczyn zupełnie doktrynerskich odrzuca małżeństwo z ukochaną Joasią, aby się poświęcić leczeniu robotników, jakby to tego robić nie mógł, będąc żonatym! — tak samo tutaj doktor Piotr robi coś, coby można nazwać pedanteryą sumienności. Dowiedział się, że jego ojciec pieniądze na jego edukacyę łożone zdobywał w ten sposób, iż robotnikom płacił nie po 30, lecz po 20 kopiejek dziennie. Wyrachował więc doktor Piotr, że przez tyle a tyle lat zysk ten „nieprawy" wyniósł 850 rubli, i chcąc tę szkodę wynagrodzić jakimś nieznanym, rzekomo pokrzywdzonym jednostkom, porzuca staruszka ojca, nie bierze posady w pobliskiem miasteczku, lecz wyjeżdża do Londynu, gdzie mu jakiś bogacz zaproponował zajęcie bardziej intratne. Dla urojenia, aby wynagrodzić jedną krzywdę teoretyczną, wyrządza Piotr ojcu krzywdę o wiele większą, żywą, bo ojciec ten przywiązany jest doń namiętnie: tak się cieszył, że schyłek życia przepędzi w pobliżu ukochanego jedynaka, a teraz może umrzeć, i jedynak nie zamknie mu oczu

Taka pedanterya sumienności zdarza się nieraz. Znanym jest np. wypadek, że pewien stolarz uzbierawszy dwa tysiące zł., zamiast je dać córce na posag, włożył je w trumnę swego zmarłego opiekuna i byłego majstra, aby mu tylko nic nie być winnym za naukę. To są ludzie o ciasnej głowie i oschłem sercu i takich lubi kreślić Żeromski, ale w mniemaniu, że to są postacie dodatnie i naśladowania godne. Ci zaś, którzy Żeromskiego chwalą, powiadają, że on w utworach swoich apoteozuje „kategoryczny imperatyw" moralny Kanta. Jeżeliby nawet tak było, to sposób, w jaki Żeromski w praktyce każe stosować ów imperatyw, ma w sobie tyle okrucieństwa i nieludzkości, że nasuwa myśl o lekarstwie gorszem od choroby. Żeromski mógłby zaiste napisać sztukę na cześć Rzymianina Brutusa, który za nieposłuszeństwo w bitwie skazał swego syna na śmierć, pomimo, że nieposłuszeństwo to doprowadziło do zwycięstwa: czyn w naszych oczach wcale nie bohaterski, ale nienaturalny i potworny.

Najlepsze są w tym zbiorku opisy przyrody polskiej, w którą Żeromski umie się zagłębiać i dziś doprowadził w tym kierunku bardzo daleko. Są w tym zakresie u Żeromskiego subtelności liryczne niebywałej piękności. Zresztą technika w tych opowiadaniach jest staromodna, przypomina zwłaszcza Prusa, gdyż bardzo często wplata autor pierwiastek humorystyczny i żartuje dobrotliwie z figur, które kreśli. Ten humor znika zupełnie w późniejszych utworach Żeromskiego, w których autor ten modernizuje się i zbliża czasami nawet do Przybyszewskiego.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 30 maja.

Sfery rządowe w Austryi zamierzają rychło już przystąpić do ustawowego uregulowania kwestyi wychodźtwa i ochrony nad emigrantami. Do jakich rozmiarów doszedł obecnie ruch emigracyjny w Austryi, o tem świadczy fakt, że musiano zaprowadzić osobną linię okrętową z Tryestu do Nowego Jorku li tylko dla wychodźców. Za parę dni pierwszy taki statek odpłynie z portu tryesteńskiego. Również emigracya do Niemiec z Galicyi dosięgła bardzo wielkich rozmiarów. Dawny swój system policyjno-represyjny w kwestyi wychodźtwa rząd porzucił już stanowczo, przekonał się bowiem, że jest ono objawem żywiołowym i wynikiem trwałych stosunków ekonomicznych, tak, że przemocą powstrzymać się nie da, chociaż z drugiej strony nie powinien też być popierany. Jako zadanie państwa uznano jedynie ochronę wychodźców przed wyzyskiem w każdym kierunku. Zasady te znalazły wyraz swój w projekcie ustawy, nad którym rząd pracuje od lat kilku, a prace te w ostatnich tygodniach uczyniły znaczny krok naprzód.

Ochronę ową zamierza ustawa ta udzielać wychodźtwu w trojakim kierunku. W pierwszym rzędzie co do informacyi o stosunkach w krajach, do których wychodźtwo ma być kierowane. Co do przyszłych biur informacyjnych, to udzielaną ma być koncesya tylko takim przedsiębiorstwom, które będą miały charakter humanitarny, a nie zarobkowy. Prócz tego będą rządowe biura informacyjne. W tym celu rząd postara się o materyały informacyjne i ewentualnie wysyłać będzie organa swe do studyowania dotyczących krajów.

Drugim punktem ustawy w mowie będącej jest sprawa agitacyi wychodźczej. Uprawnionym do werbowania emigrantów ma być tylko ten, kto rzeczywiście rozporządza okazyą do roboty zagranicą, lub kto przez pracodawcę został upoważniony. Także biura pośrednictwa mogą być dopuszczone. W motywach do tych postanowień rząd wskazuje na nadużycia, które wykryto w pierwszym rzędzie w Galicyi. Stwierdzono np., że koncesyonowani pośrednicy rocznie do Rumunii wysyłają 1.000 do 1.500 wychodźców z Galicyi i Bukowiny, zaś nieupoważnieni pośrednicy do 10.000 rocznie. Przytem wysyłają ci pośrednicy samozwańczy robotników częstokroć przed ustaleniem warunków umowy z pracodawcą, co oczywiście pociąga za sobą wyzyskiwanie biednych emigrantów, gdyż muszą oni *ex post* przyjąć byle jakie warunki.

Wreszcie w trzecim rzędzie roztoczy projektowana ustawa opiekę nad wychodźcami podczas ich przejazdu przez morze, tudzież po części podczas ich pobytu w obcym kraju.

Zasady te w ustawie są już ustalone, i życzyćby wypadało, aby ustawa taka jak najrychlej mogła przyjść do skutku.

Odbyło się tu czwarte walne zgromadzenie kolei lokalnej Kraków-Kocmyrzów. Dochody jej w roku ubiegłym wynosiły 105.889 koron, wydatki 94.892, nadwyżka zatem wynosi 10.997 koron. Na koszta amortyzacyi i oprocentowania akcyi pierwszeństwa rząd musi na podstawie udzielonej gwarancyi dołożyć do tego jeszcze 56.945 koron.

§ **Cennik ziemiopłodów w Krakowie** z dnia 31go maja 1904 r. w Hali zbożowej. Tendencya spokojna.

Pszenica biała 9.15—9.35, czerwona i żółta 8.90 do 9.25, węg. 0.00—0.00. Żyto krajowe 7.00 do 7.20, żyto węgierskie 7.70 do 7·85. Jęczmień na krupy 6.40—6.70, jęczmień na paszę 6.10 do 6.25, owies 6.25 — 6.60, tatarka 7.20—7.90, kukurudza nowa 6.50—6.80, cinquantin nowa 7.00 do 7.20, Groch Wiktorya 11.50—12.00, zwykły 8.50—9.50, past. 7.25 — 7.75. Fasola cukr 12.50 do 13.00, długa 10.50—11.00. Fasola krótka 9.30—9.80. perłowa 11.00—11.50. Bobik 6.60—6.80. Wyka 5.50—5.75, Siemię konopne 8.50—9.00. Mak niebieski 24.— do 26.—, szary 23.00—25.—, Koniczyna nasienna czerw. 00.— do 00.—, Otręby pszenne 4.90—5.10, otręby żytne 5.00—5.10. Mąka czerwona 5.60—5.70. Ofagi 4.30 do 4.60. Słoma żytnia długa 2.20 do 2.40. — Siano zwyczajne 2.20—3.70. Koniczyna pastewna 4.20 do 4.40. Soczewica 14.00—17.00. Proso zwykłe 5·25 do 6·—. Ceny notowane za 50 klgr.

§ **Bilans kolejowy.** W miesiącu kwietniu b. r. dochody austryackich kolei państwowych wynosiły w ruchu osobowym 5,158.600 K. (3,732.900 podróżnych), o 175.091 K. (+197.000 podróżnych) więcej, niż w kwietniu r. z.; w ruchu towarowym 14,000.700 K. (2,848.600 ton), o 219.870 koron (+23.900 ton) więcej, niż w kwietniu r. z.

Z tego przypada na koleje galicyjskie w ruchu osobowym 1,652.300 K. (897.700 podróżnych), o 78.777 K. (+50.300 podróżnych) więcej, niż w kwietniu r. z.; w ruchu towarowymi 3,733.000 koron (548.900 ton), o 39.830 K. (+1.600 ton) więcej, niż w kwietniu r. z.

Ruch osobowy w ogólności w tym roku w kwietniu był bardziej ożywiony, niż w roku zeszłym, co głównie tłómaczy się lepszą pogodą, szczególnie w Wielkim tygodniu. Prócz tego zarówno w okolicach alpejskich jakoteż w Galicyi znaczniejszy był przewóz robotników.

Większy dochód z ruchu towarowego pochodzi na kolejach zachodnich głównie ze znaczniejszych transportów budulca, węgla dla potrzeb wewnętrznych, jakoteż żywych zwierząt (koni i bydła rogatego). Na kolejach galicyjskich wprawdzie w ruchu wewnętrznym przewieziono większe ilości nafty, budulca (zwłaszcza drzewa) i zboża, natomiast w ruchu transitowym transporty zboża były mniejsze, niż w kwietniu roku ubiegłego.

W czasie od 1 stycznia do 30 kwietnia ogólny dochód kolei państwowych wynosił 74,988.700 koron, tj. o 2,761.001 kor. więcej, niż w tym samym okresie roku zeszłego.

Sport.

Liszka (Or vert-Dyrsa), 4-l. kl. półkrwi, pochodząca ze stada p. Ostoia-Ostaszewskiego, jest dotąd jedyną galicyjską klaczą, która w tym roku zdobywa laury na torach węgierskich. Siostra tak znanych koni, jak „Licho" i „Licho bez szlarki," wygrała dotąd swemu właścicielowi por. Kollerowi dwie pierwsze, jedną drugą i jedną trzecią nagrodę, startując cztery razy, w tem Armee-Steeple chase w Koszycach.

Ormonde, „koń wieku," jak go nazywano, padł. Wychowanek ks. Westminster, nigdy nie pobity, sprzedany został za 12.000 funtów szterlingów argentyńskiemu hodowcy. Jako ojciec Orme'a, więc dziad Flying Toxa, oddał on ogromne usługi w chowie koni w Europie. W Ameryce zawiódł nadzieje, jakie w nim pokładano.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Budapeszt 1 czerwca. Na wniosek policyi minister spraw wewnętrznych rozwiązał zawodowe stowarzyszenie pomocników piekarskich.

Konopischt 1 czerwca. Wczoraj odbyły się chrzciny nowonarodzonego syna arcyks. Franciszka Ferdynanda i księżnej Hohenberg. Otrzymał on imiona Ernest Alfons. Ojcem chrzestnym był hr. Caserta.

Paryż 1 czerwca. W senacie sen. Halgan z prawicy interpelował w sprawie usunięcia krzyżów z sal sądowych i oświadczył, że jest to bezprawiem i narusza religijne uczucia ludności katolickiej. Lamarcelles protestuje również przeciw usunięciu krzyżów z sal sądowych. — Minister sprawiedliwości broni tego zarządzenia. — Sen. Las Cazes zarzuca ministrowi, że usunął krzyże bez wotum parlamentu. — Minister żąda przyjęcia zwykłego porządku dziennego, co też senat uczynił 173 głosami przeciw 105.

(Depesze popołudniowe).

Paryż 1 czerwca. Pomimo półurzędowych zaprzeczeń, dziennik *L'Humanité* trwa przy swem doniesieniu, że prócz urzędnika ministerstwa wojny d'Autriche'a aresztowano jeszcze kilku oficerów z powodu przekupstwa Cernuschi'ego. Dzienniki nacyonalistyczne bronią bardzo d'Autriche'a i atakują rząd za jego aresztowanie. Wywodzą, że co do sum, używanych na tajne środki ministerstwa wojny, to tylko prezydent republiki ma prawo żądać wyjaśnień. Dzienniki te twierdzą dalej, że śledztwo trybunału kasacyjnego może mieć bardzo niebezpieczne konsekwencye, ponieważ zapisany w księgach ministeryalnych niejaki Austerlitz, na którego nazwisko wstawiono sumy, przeznaczone dla Cernuschi'ego, w istocie dostarczył Francyi bardzo ważnych wiadomości wojskowych z zagranicy.

Waszyngton 1 czerwca. Sekretarz stanu Hay zwrócił się do rządu francuskiego z prośbą, aby użyczył swoich dobrych usług celem uwolnienia Amerykanina Perdicariego z rąk rozbójnika Raizuli.

Petersburg 1 czerwca. Zapowiedzianą na jutro uroczystość narodową na cześć kompozytora Glinki i odsłonięcie pomnika jego odroczono na rozkaz cara do czasu po wojnie.

Petersburg 1 czerwca. Rosyjska agencya telegraficzna donosi: Jesteśmy upoważnieni do oświadczenia, że zupełnie fałszywe i pozbawione wszelkiej podstawy jest doniesienie londyńskiego *Standardu*, jakoby w Warszawie stracono 600 politycznych przestępców, a z Moskwy wywieziono potajemnie w nocy 80 trumien ze zwłokami rozstrzelanych osób.

Petersburg 1 czerwca. Ros. Agencya telegraficzna oświadcza, że wiadomość zagranicznych dzienników o rzekomym zamachu na ministra spraw zagranicznych Lamsdorfa jest zupełnie bezpodstawna.

Budapeszt 1 czerwca. W austryackiej delegacyi toczy się dziś dyskusya nad kredytem okupacyjnym.

Budapeszt 1 czerwca. W austryackiej delegacyi po wywodach wspólnego ministra skarbu Buriana i referenta uchwalono budżet Bośni i Hercegowiny, poczem przystąpiono do dyskusyi nad budżetem marynarki.

Wojna.

Petersburg 1 czerwca. *Russki Inwalid* zwraca uwagę na to, że działa, których użyto obecnie do wzmocnienia rosyjskich pozycyi koło Kinczu, zabrano w roku 1900 Chińczykom. Działa te pochodziły wprawdzie z fabryk Kruppa, lecz były rozmaitego typu i kalibru, tak, że prawie co drugie potrzebowało innych żołnierzy, specyalnie dla niego wyćwiczonych. Dlatego już przed trzema laty zajmowano się myślą, czy nie należałoby dział tych wystawić w muzeum. Zaniechano tego zamiaru tylko z tego powodu, że razem z działami zabrano Chińczykom także zapasy nabojów.

HOTEL GEORGE'A.

Pokoje ze światłem i obsługą od 3 K. począwszy.

Przyjechali dnia 1 czerwca. Książę K. Lubomirski z Rozwadowa. Hr. J. Zamoyski z Sokołówki. C. Świeżawski z Królestwa. R. Czaykowski z Korolówki. R. Wittmann i F. Rumwolf z Wiednia. M. Schnage z Krakowa. Hr. H. Tarnowski z Wyspy. M. Weinfeld i W. Loosy z Budapesztu. A. Russanowski z Podola. L. Dziama z Czernichowa. A. Neumann z Kass. Z. Mars z Limanowy.

HOTEL EUROPEJSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 1 Baronowa Miltitz i F. Valentin z Wiednia. Dr. W. Szayna z Drohobycza. Dr. B. Lewicki z Sokala. W. Krzyżanowski z Lisek. Dr. Sosnowski z Dynowa. B. Śmiałowski z Stojaniec. S. Cieński ze Stanisławowa. A. Kossecki z Rosyi. P. Birecki z Paryża. J. Pietrowo z Radziwiłłowa. M. Morawski z Kołomyi. M. Zajączkowski z Halicza.

HOTEL FRANCUSKI

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 1 czerwca. A. Madeyewski z Podhorodyszcza. M. Makswaldowa z Zakopanego. N. Dorożyńscy z Rohatyna. F. Jabłoński z Rzeszowa. R. Heller z Wiednia. N. Wołoszyńska ze Stanisławowa. E. Lindner z Wiednia. A. Krajewscy z Czech. F. Zimermann i W. Grell z Czerniowiec. M. Zacharski z Gawryłówki. K. Frey z Mistaku. J. Glüttner i R. Steiner z Wiednia. M. Tabaka z Czerniowiec. J. Jacykiewiczowa z Iwaczowa. E. Mendrohowicz ze Skolego. A. Strzembosz z Wołynia. T. Fandarys z Kosmacza. J. Sokołowski z Łukawca. J. Winiarscy z Przemyślan. M. Meisner z Chyrowa. A. Langsner ze Stanisławowa. T. Benisch z Sanoka.

Wiedeń 1 czerwca. (Giełda towarowa). Cukier 21·70 (spokojnie). — Spirytus 47·00—47·40, Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 1 czerwca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·30. Spirytus 00·00.

Paryż 1 czerwca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·60. — Mąka („Fleur de Paris") 27·20.

Budapeszt 1 czerwca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 9·09—9·10; żyto na październik 6·78—6·79; owies na październik 5·76—5·77; kukurudza na lipiec 5·27—5·28, na sierpień 5·39—5·40. Rzepak na sierpień 10·70—10·80. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: ograniczona. Usposobienie: słabe. Pogoda: piękna.

Wiedeń 1 czerwca. Żyto 6·95—7·15, kukurudza 5·45—4·65. Pochmurno.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 1 czerwca.

Marki 117.36, renta majowa 99.20, węgierska renta koronowa 97.10, akcye: austr. zakł. kredyt. 642.25. węg. zakł. kred. 749·00, anglobanku 279.00, unionbanku 522.00, bankvereinu 511·00, länderbanku 426.00, kolei państw. 635.25, lombardy 79.00, akcye kolei Elbethal 421.50, fabryki broni 000·00, tytoniowe 000.00, alpiny 412.50, Rima Muranyi 488.50, prag. Tow. żel. 2004·00, losy tureckie 129.50, ruble 253.25. Usposobienie: spokojne.

Lwów 1 czerwca. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 578.— do 588.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 540·00 do 550.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 850 do 870·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc. los w 50 lat 101.70 do 102·40, 4 proc. los w 60 lat 98.80 do 99·50 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.50 do 102.20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·20 do 099.90 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.00 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 9?·30 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 99.00 do 99.70.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 99.50 — 100·20 Bukowińskiego fund. prop. 5 proc. 102.80 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 102.80 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 99.00 do 99.70. Pożyczki kraj. z roku 1878 4½ proc. —.— do —.—. 4 proc. z 1898 r. 99.50—100.20 miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97.00 do 97.70, 4½% po 200 koron 101.00 do 101.70.

Monety. Dukat cesarski 11.26—11.40. Napoleondor 19.00 do 19.25. Sto rubli papierowych 252.00—254.00 Sto marek 117.20 do 117·70.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1904 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.00, 8.55, 5.40, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.20
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.40, 5.80 10.20*; na Podzamcze: **3.15**, 7.20, 5.06, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.25* (na dw. gł.) 8.04* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.10, 5.50, 9·10*.
Z Kołomyi i Stanisławowa: 8.10, 11.25.
Ze Stryja: 7.45, 10.02, 1.10, 4.85, 10.40*
Z Rawy i Sokala: 6.46, 6.00*
Z Jaworowa: 8.20, 4.45.
Z Sambora: 8·00, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **3.25**, **2.55**, 4.10*, 8.85, 6.20*, 10.55
Do Rzeszowa: 8.30.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.55**, 6.80, 9*—11.—*; z Podzamcza: **2.09**, 6.18, 9.21*, 11.24
Do Tarnopola: 10.55 z dw. głównego, 10.52 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.45**, 6.20, 10.45, 10.42*.
Do Stryja: 6.45, 9.10, 8.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.30, 7.05*.
Do Jaworowa: 6.10, 5.48.
Do Sambora: 9·25, 8·40.
Do Kołomyi i Zydaczowa: 5.55.
Do Przemyśla, Chyrowa, Zagórza: 10.05*.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: 6.46, 8.05, 12.39, 3.00, 4.80, 6.0 *, 8.04* 9.12* (od 8|5).
Z Janowa: 8.20, 1.16, 4.45, 9.25*, 10.10* (od 15|5 w niedziele i święta)
Ze Szczerca: ?.35* (od 1|6 do 11|9 w niedziele i święta).
Z Lubienia W: 11.35* (od 15|5 do 11|9 w niedz. i święta)

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: 7.10, 9.30, 11.45, 1.05, 3.35, 5.05; 7.05*. 8.17* (od 8|5) 11.10*, (każdej niedzieli).
Do Żółkwi: 11.10* (każdej niedzieli).
Do Janowa: 6.50, 9.15, 1.35 (od 15|5 do 31|8 w niedzielę i święta), 3.18, 5.48.
Do Szczerca. 1.45 (od 1|6 do 11|9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 15|5 do 11|9 w niedz. i święta).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

ma pikowa.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

...a Antoniego — rzekła Teresa. — ...przyjąć tego pana, ja zaś chodziłam ..., więc zobaczywszy mnie, odezwał ... przez kratę. Otworzyłam mu furtkę, ...śmy. Chodźmy teraz do salonu.

...bjaśnienie i ta propozycya nie podo... pani Lecomte, ale uznała za stosowne ...iwiać się Teresie.

...szę pana — rzekła, idąc z córką na-...

...szedłszy do salonu, skinęła na nieznajo-...y usiadł, i spytała chłodno:

...kimże mam zaszczyt?...

...oje nazwisko jest pani nieznanem — ...ybawca Teresy. — Zdziwi panią moja ..., gdy powiem, że jestem robotnikiem. ...m się Piotr Cambremer, służę jako zwro-...na kolei Orleańskiej.

...chciej pan się wytłómaczyć, co pana ...prowadza.

...ambremer nie wiedział, od czego zacząć, ...bardzo zmieszany. Wreszcie postanowił ...tąpić wprost do rzeczy.

— Proszę pani! — rzekł — przychodzę do-...dzieć się, jak była z domu matka niebo-...szczyka jej męża.

— To chyba żarty! — zawołała pani Lecomte ...rzona.

Zwrotniczy zrozumiał, że wziął się do rze-... niezręcznie i rzekł:

— Słowo pani daję, że chodzi o bardzo wa-... sprawę... Nie przez ciekawość chciałbym ...dzieć, czy świekra pani była z domu O'Sullivan... Georginia O'Sullivan?

Na twarzy pani Lecomte odmalowało się zdziwienie.

— A choćby tak było, cóż to pana obchodzi? — rzekła wyniośle.

— Zaraz to pani wytłómaczę — mówił Cambremer, odzyskując pewność siebie. — Przed kilku laty ożeniłem się, ale mi żona umarła, pozostawiając sześcioletnią córeczkę, która jest moją pociechą jedyną. Moja żona była wyrobnicą, jej matka także, ale babka pochodziła ze starej rodziny irlandzkiej i nazywała się O'Sullivan.

— Jest dużo O'Sullivanów w Irlandyi — przerwała pani Lecomte.

— Tak mi mówiono i nie troszczyłbym się o pokrewieństwa mojej żony, gdyby nie chodziło o dobro dziecka. Przed kilku dniami w papierach, pozostałych po nieboszczce, znalazłem spis wszystkich osób, należących do rodziny... i wyczytałem, że ciotka mojej teści, z domu O'Sullivan, w r. 1809 poślubiła p. Józefa Lecomte, podówczas agenta giełdowego.

— Mój dziadek nazywał się Józef i, żeniąc się, był agentem! — zawołała Teresa. — Ojciec nieraz o tem wspominał.

— Babka mojej żony miała na imię Elżbieta; imię jej babki ciotecznej, późniejszej pani Lecomte, było Georginia.

— Takie też było imię mojej babki — podchwyciła znowu Teresa.

Pani Lecomte nie była tak pochopną do przyznania pokrewieństwa, obawiała się bowiem, że ten nieznajomy chce je wyzyskać.

— Zatem moja Marta jest kuzynką pani — rzekł Cambremer do Teresy, a widząc, że jej matka chmurzy się, dodał: — O, może być pani spokojna, nie mam pretensyi, żeby ją pani uznała za krewniaczkę. Wiem, że ona co innego, a panie co innego, i że nie może bywać w takim domu bogatym. Nie przychodzę też z prośbą o wsparcie. Zarabiam, dzięki Bogu, na życie i nie potrzebuję niczyjej pomocy, ani łaski.

— Zechciej więc pan wytłómaczyć, czego się pan po mnie spodziewa — spytała wdowa, udobruchana tem oświadczeniem.

— Niczego, proszę pani — odparł — pragnąłem tylko dowiedzieć się, jak była z domu pani świekra, bo jest ogromny spadek po O'Sullivanie i ma do niego prawo moja córka, a także i córka pani. Nic jeszcze pewnego, ale gdybym się o czem dowiedział, to uwiadomię panią.

Pani Lecomte, ujęta bezinteresownością nieznajomego, rzekła uprzejmie:

— Daruje pan, że nie odpowiadałam wpierw na pytania, ale zamiary pańskie nie były mi jeszcze wiadome, a bywam zwykle ostrożną; teraz jednak, gdy wiem, z kim mam do czynienia, mogę pana objaśnić, że mój mąż był istotnie synem Georginii O'Sullivan, która umarła w trzy lata po ślubie; nie znał wcale jej rodziny, wiedział tylko, że p. O'Sullivan, córka drobnego dzierżawcy irlandzkiego, przybyła do Francyi bardzo młodo, że miała brata i trzy siostry. Całe rodzeństwo rozproszyło się po śmierci ojca, jak to bywa w Irlandyi, skutkiem smutnych warunków pieniężnych. Mąż mój kilkakrotnie dowiadywał się o rodzinę swej matki, ale bezskutecznie. Pan musi mieć dowody, stwierdzające to pokrewieństwo?

— Mam wykaz dat i miejsc urodzeń i ślubów, więc będzie łatwo dostać metryki.

— Proszę mi wierzyć — wtrąciła pani Lecomte — że nie powstydzimy się pokrewieństwa, jeżeli tylko będzie udowodnionem.

— Pan nam przyprowadzi swoją córeczkę — rzekła Teresa, ogarniając swego wybawcę wdzięcznem spojrzeniem.

— Boję się tylko — przerwała jej matka — że co do tej sukcesyi, to się pan zawiedzie. Rodzina O'Sullivanów była bardzo uboga.

— Wiem. To też na myśl mi nie przychodziło, aby moja córka mogła otrzymać spadek, ale ubiegłej zimy zjawił się u mnie jakiś pan i mówił, że moja Marta ma prawo do ogromnego spadku.

Nie chciałem z nim gadać, odszedł... i nie pokazał się już więcej... Byłbym o nim zapomniał, gdyby nie to, że z jego winy o mało co pociąg nie przejechał mojej małej. Ale przed kilku dniami na dnie kufra znalazłem plik papierów, z których widzę, że ten nieznajomy wiedział, co mówi i że jego to odwiedziny miały cel poważny. Otóż ktoś mi poradził udać się do agenta, zajmującego się wyszukiwaniem spadków.

— To dziwne — szepnęła Teresa. — Zgłaszał się do pana nieznajomy; było to w zimie... Czy pan nie pamięta którego dnia?

— Nie umiałbym powiedzieć — rzekł Cambremer — ale pewny jestem, że w dwa, albo trzy dni po wypadku bardzo głośnym w mojej dzielnicy... po zbrodni przy ulicy Arbaléte.

Cambremer spostrzegł, że Teresa blednie. Pani Lecomte zakryła twarz chustką. Biedak zmieszał się, nie pojmując, czem je tak wzruszył, i nie wiedząc, jak swój błąd naprawić, chciał już odchodzić, gdy nagle panienka spytała:

— Jak wyglądał ten człowiek?

— Nic w nim nie było osobliwego... Mógł mieć lat czterdzieści do pięćdziesięciu... Twarz, jak twarz, tylko oczy jakieś dziwne... unikające ludzkiego spojrzenia.

— To on! — zawołała Teresa. Pamiętasz, mamo, w styczniu zgłaszał się do ciebie jakiś jegomość, nie chciał wymienić swego nazwiska Antoniemu; prosiłaś Ludwika, żeby się z nim rozmówił.

— Istotnie, przypominam sobie.

— Otóż Ludwik nic się od niego nie d... dział... Powrócił wzburzony i mówił, że ... człowiek tak się zachowywał, jak gdyby ... złe zamiary, i także w oczy nie patrzał ... tamten.

— Jakiż może być związek pomiędzy ... odwiedzinami? — rzekła pani Lecomte.

Teresa umilkła, czuła, że jej matk... zrozumie, i postanowiła zachować swe do... dla siebie. Pewna była, że wrogowie Lu... uknuli cały spisek i że ona przed chwilą ... nie padła ofiarą.

— Ten nieznajomy już się więcej nie ... wił — ciągnął dalej Cambremer — ale ... padkowo dowiedziałem się o jego nazwi... adresie.

— Jakże się nazywał? — spytała żyw... na Lecomte.

— Tolbiac de Tinchebray. Mieszka przy ul. Godot de Mauray.

— Zapamiętam to sobie — szepnęła panienka.

Zwrotniczy wstał i żegnał się, przeprzszając za swoją natarczywość.

— Chciałbym jeszcze o coś zapytać — rzekł od progu — czy mnie pani upoważnia powiedzieć temu agentowi, wyszukującemu sukcesy... że córka pani pochodzi od O'Sullivanów.

— Nietylko pana upoważniam, ale bardzo o to proszę i będę panu obowiązana, jeżeli mi doniesiesz o skutku swoich narad.

— Nie omieszkam. Mam się z nim zobaczyć jutro wieczorem.

— A pojutrze oczekuję pana z moją kuzynką — rzekła Teresa, podając mu rękę, którą zaledwie śmiał dotknąć.

Cambremer, wyszedłszy z willi, podążył n... miejsce, gdzie zostawił poturbowanego napastnika, ale go już tam nie znalazł.

(Ciąg dalszy nastąpi).





...cław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.